



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru. Rola i znaczenie imaginacji oraz jej wpływ na szczęście i nieszczęście ludzi, przez T. B. — Na Prowincji, powieść w dwóch częściach przez Elżę Orzeszkową. Szkice z podróży po wyższej Etyjopji. — Pogadanka. — Przegląd literatury zagranicznej. — (Wiersz). — Przegląd muzyczny. — O ubiorach. —

ROLA I ZNACZENIE IMAGINACJI,

ORAZ

JEJ WPŁYW NA SZCZĘŚCIE I NIESZCZĘŚCIE LUDZI

przez T. B.

Nie nowego pod słońcem.... Ale
pod słońcem są i tacy i owacy.
Skarbimierz.

Każdy prawie, a mianowicie drażliwego usposobienia człowiek, doświadcza często, iż się w jego głowie zjawiają natrętne roje wyobrażeń i jakichś dziwacznych myśli, które pomimo chęci i woli przesuwają się i płaczą po przestworze umysłu, robiąc nam tylko niepotrzebne roztargnienie.

Jest to sprawa imaginacji, owój burzliwej, samowolnej, często rozumowi i woli opierającej się i nieposłusznej władzy umysłu. Człowiek badający siebie, znać koniecznie powinien tę władzę, która częstokroć jego szczęścia lub nieszczęścia staje się przyczyną.

W hierarchii władz umysłowych, imaginacja stanowi niejako granicę pomiędzy zmysłowością a umysłowością, tak iż jest z jednej strony ogniskiem zmysłów, a z drugiej twórczą siłą umysłowości. Jeżeli pamięć nazwano stróżem umysłowych skarbów, rozum gospodarzem, to imaginacja trafnie otrzymała tytuł królowej w państwie umysłowych. Rozum rozbiera, waży, rachuje, porządkuje; imaginacja maluje, stroi, upiększa, składa wyobrażenia, tworzy ideały, jakim w świecie nieodpowiada żadna rzeczywistość. Kiedy nam np. Dante otwiera otchłanie piekieł i pokazuje męki potępieńców; kiedy Milton prowadzi nas przez rozkoszne miejsca Edenu, a Michał Anioł gdy maluje przerażające sceny sądu ostatecznego; kiedy Ariost i Cervantes opowiadają przygody swoich bohaterów, a Swift wprowadza w krainę Liliputów, — czujemy się gdzieś daleko po za granicami wszelkiej rzeczywistości, w świecie idealnym który jest utworem fantazji.

Podług przemożnego wpływu i udziału zmysłów lub rozumu, imaginacja jest zmysłową, czyli wyobraźnią właściwą ludziom, a nawet zwierzętom wyższego szczebla organizacji, np. małpom, słoniom, psom: — i wyższą, czyli fantazją właściwą poetom i ludziom utalentowanym.

Pierwsza wyprowadza roje wyobrażeń, napełnia duszę obrazami rzeczy pod zmysły podpadających: druga, wysoki dar Boga, tworzy ideały i jest matką sztuk pięknych. Obręb jej działalności jest nieograniczony. Poeta buja po niezmiernym przestworze myśli, opiewa całą naturę, zaludnia swoimi płodami wszystkie królestwa istot przyrodzonych i wszystko upiększa czego się dotknie.

Wielka różnorodność twórczości, objawiająca się sposobem tak wyraźnym w sztukach pięknych u rozmaitych narodów, w rozmaitych wiekach, jest skutkiem potężnego wpływu na jej modyfikację bardzo wielu okoliczności, jakimi są: stopień cywilizacji i oświecenia, religja, natura rządu, klimat, zwyczaje, obyczaje. Z tego wynika, że każdy naród przedstawia w dziełach sztuk pięknych, właściwy sobie smak, właściwe sobie pojęcie i sąd o piękności; posiada własne prawidła, własną formę i szczególny punkt widzenia rzeczy.

Oprócz poezji i innych pięknych umiów, których twórczość jest rodzicielką, potężny jest także jej wpływ na sztukę, sztuki mechaniczne, pożyteczne wynalazki, odkrycia, zastosowania, przemysł: słowem na całą cywilizację narodów. Wszakże bez narzędzi niezbędnych potrzebnych do doświadczeń, nauki przyrodzone nie mogłyby postępować i doskonalić się, a wymyślanie tylu fizycznych narzędzi, tylu maszyn i rozlicznych przyrządów, ileż dowcipu i wpływu siły imaginacyjnej potrzebowało? Wśród mechanik miał w umyśle swoim ekładorys najzawilszej maszyny, nim ją zbudował: fantazja naprowadza fizyka, chemika, technika na domysły i wspiera ich w czynieniu przypuszczeń; za pomocą fantazji matematyk wyobraża sobie system linii, których rozróżniony widok pozwala mu odgadnąć nie jedną pożyteczną własność, jaką później wyjaśnia rozumowaniem i rachunkiem.

W rozwijaniu się władz umysłowych, imaginacja uprzedza zwykle dojrzewanie refleksji i wzrost rozumu. Z tego wynika, że owoce fantazji pokazują się przed niż dzieła rozumu. Sztuki piękne kwitły wprzód u Greków niż matematyka i filozofja; w historii np. podania o początku narodów usnute na domysłach i utworach imaginacji, stoją zwykle przed gruntownymi wywodami krytyki uczonych historyków: słowem gdzie tylko wzniósł się porządnym gmach wiedzy na obserwacji, rozumowaniu, doświadczeniu oparty, tam tamowały mu drogę, marzenia, baśnie, domnie-

mania, przypuszczenia. I taki jest naturalny porządek wszystkiego: dziecko marzy, mąż myśli, a każdy naród, podobnie jak pojedynczy człowiek, ma swoje dzieciństwo, swój wiek mękości i dojrzałości. Z narodów Azji, Indianie i Arabowie, mają umysł z ognistą wyobraźnią. Z parodu słowiańskiego, Polacy są ludem uczuciowym, poetycznym; żaden podobno naród nie wydał z łona swego, tylu poetów ile Polacy; w umyśle ich zatem przemaga fantazja. Zajrzyjmy teraz trochę w organizm człowieka i przypatrzmy się co w nim dokazuje imaginacja. Potrącana drażliwością nerwów i kojarzeniem się pojęć, rodzi zadziwiające fenomena, do jakich należą: sny, lunatycztwo, fiksacja, jasnowidztwa. Marzenia senne miewają często taki stopień wyrazistości i żywości, że gdyby widma i owe dziwaczne postacie, które się przesuwają i płaczą po umyśle, zgadzały się z okolicznościami czasu i miejsca, byłoby trudno odróżnić je od wyobrażeń z wrażeń zmysłowych na jawie odbieranych. A nawet przypuściwszy, jak się to częstokroć zdarza, że śpiącego niepokoją: napad rozbójników, zbliżające się straszidło z nożem, widok śmierci, pogrzebu drogiej nam osoby, ścigające i kłające psy; — te obrazy tak silnie wstrząsają przyrządem nerwowym, iż śpiący otwiera usta, wydaje mocny głos przestachu i trwogi, aż się nakoniec przebudza ze drżeniem i pomięszaniem, przeraziwszy i innych krzykiem przebudzonych.

Sen jest to fantastyczny świat, w którym duch działa w uśpieniu zmysłów. Sny mają coś tak cudownego, tak niepojętego, iż dziwić się nie można, że w dawnych wiekach brano marzenia senne za ostrzeżenia niebios, badano z nich przyszłość, uważano je za przepowiednie, i wyobrażano sobie, że sen unosi duszę w świat inny, nie mniej rzeczywisty jak nasz w którym żyjemy. Dla tego sny zajmują ważne bardzo stanowisko w historii starożytnych narodów. Fenomena lunatycztwa są to marzenia senne w wyższej potędze, połączone z nałogiem mięśni do pewnych poruszeń. Człowiek śpiący wstaje, wykonywa machinalne czynności, do których nawykł z rzemiosła swego, i to tak porządnie i szczęśliwie, iżby tych lepij nie wykonał na jawie. Znałem kredencarza w pewnym dworze w Galicji, który w tym stanie uśpienia zmysłów, z największym powodzeniem nakrywał stół obrusem, ustawiał na nim talerze, półmiski, następnie zbierał, chował i kładł się do swego łóżka. Do

fizjologii i psychologii należy wykład tak dziwnego zjawiska.

W wielu chorobach nerwowych, jakimi są: ślepiennica i osłupiałość, imaginacja rodzi tak straszne przypadłości, iż na wytłumaczenie ich trzeba było sprowadzić złych duchów, uwierzyć w uroki, czary i czarownice, któremi się złe duchy posługują: ztąd osobliwe teorie zamawiania i wypędzania czarta z opętanych, zdaje się iż powstały.

Marzenia na jawie są snem czuwającego, i nie różnią się często od rzeczywistego snu, tylko świadomością siebie. Ludzie w kwiecie wieku, kochankowie, kobiety, starcy, próżniacy, gapie, bogacze, nerwowie, łatwo wpadają w odmęt marzenia na jawie; dusza ich daje się porwać i unosić potokami fał wezbranej imaginacji, nie wytykając żadnego kierunku, żadnego celu swoim polotom: jest to stan błogi jakiejś swobody i chwilowego szczęścia.

Imaginacja drażniona groźbami strachów, upiorów, wilkołaków — wykrzywia waty i giętki umysł dzieci, robiąc je lekliwymi, później przesadnymi i zabobonnymi.

Z tego wynika prawidło postępowania obowiązujące matki, ażeby straszyły dzieci uporne i krzykliwe, raczej różgą niż kominiarzem.

Kobiety oddające się zbyt rozkoszom imaginacji przez ciągłe czytanie romansów, tworzą sobie często świat fantastyczny; nabywając niesmaku do rzeczywistego, w którym naturalnie nie znajdują tych wizerunków piękności, tych ideałów doskonałości, jakimi powieściopisarz hojnie okraślił dzieła swoje. Z tego źródła płyną rozliczne dziwactwa i kłopoty w kółkach i związkach familijnych, a nawet to usposabia młode panny do wielu chorób, czego przykłady bardzo liczne i częste widzimy.

Nakoniec co do tego, co zwiemy w rozmaitych zawodach ludzi, szczęściem lub nieszczęściem, powiedzić można, że szczęście nie jest nigdy tyle szczęściem w rzeczywistości ile w imaginacji. Wszystko z odległości przedstawia się piękniej niż w zbliżeniu, ztąd przysłowie: tam dobrze, gdzie nas nie ma. Gdy zdarzenie którego lękaliśmy się, lub upragniony życzeń naszych skutek nastąpi, gdy się zetkniemy z przedmiotem świetnych w perspektywie nadziei, spostrzegamy dopiero przez doświadczenie, o ile byliśmy igraszką jęj marzeń, jęj zmyśleń. Wyobrażaliśmy sobie przedmiot jako źródło niewyczerpany w pociechy, a znajdujemy go bardzo ubogim w żywioły szczęścia, i powtarzamy słowa sławnego Rousseau: rien n'est beau que ce qui n'est pas. W porze wiosennej życia naszego, obecność i przyszłość, świat i ludzie, wyglądają pięknie; bo w tym kwiecistym perjodzie naszego bytu, nie znane są jeszcze owe cierpienie i smutne doświadczenia, które zdejmują urok ze świata i ludzi: imaginacja świeża, płodna, nadaje świetny wszystkim rzeczom kolor, maluje i stroi wszystko, a nawet sprawia sen złotym, sen na kwiatkach. Ztąd owe piękne zmyślenie wieku złotego, który wszystkie narody mieszczą w przeszłości: jest to młodzieńcze marzenie rodu ludzkiego.

W wieku podeszłym, gdy już imaginacja omdlewa i stopniowo ustaje, gdy czarujące jęj obrazy pełną, świat omamień znika; życie obdarte z kolorytu i powabów, огоłocone z czarów i dziwów, byłoby prawdziwie nędzne, gdyby boskie idee religii, nie kładły celu równie wzniosłego jak niezmiennego, i gdyby ideał piękności moralnej, występujący z głębi serca, sumienia i wiary, a który raz rozwinięty nie wędnieje i nie opuszcza nas do śmierci, nie zastępował słodkich marzeń fantazji i nie wynagradzał człowieka po jęj utracie nadzieją i marzeniami innej zupełnie natury.

Tym sposobem pojmuję przytoczone wyżej zdanie sławnego Rousseau; bo gdy z postępem doświadczenia i wieku, ujrzymy to co jest i jak jest, już w tem nie smakujemy, a tęsknimy do tego co nie jest; mamy przeto w sobie źródło szczęścia lub nieszczęścia, a szukamy go zewnątrz i śledzimy w tajemniczym losie lub przeznaczeniu.

Na zakończenie, jeszcze jako wniosek powiedzić można, iż dobrodziejstwem to jest sztuki wychowania, rozwijać wszystkie zdolności duchowe człowieka, w równym stosunku, to jest: aby jedna władza nie wybiegała nad inne i nie wzięła góry nad innemi; ale wszystkie aby się wzajemnie wspierały, wedle swego przeznaczenia i tworzyły harmonijny koncert myślenia i uczuciowości. Rażące jest, jeżeli rozum kładzie swoje zimne formy rozumowań i wywodów tam, gdzie jest miejsce dla gorących uczuć, serca i przeciwnie.

Wygórowana np. fantazja, ta zmysłowa czarownica, podsuwa często w czynnościach właściwych rozumowi swoje utwory; stawia obrazy w miejsce pojęć i czystych myśli, a przeto narusza harmonią władz umysłowych i miesza wypadki rozumu. Złudzony filozof nie umiając panować nad wybujałą fantazją, bierze jęj marzenia za rzeczywistość, i podaje takowe światu jako prawdy niezawodne i powszechne.

Taka umysłowa choroba dotyka najczęściej młodych zapaleńców, wydając niekiedy straszliwe następstwa szalu, narażając na szwank i upadek ważne jakie sprawy, z upadku prowadząc do zwątpienia o wielkich prawdach moralności i religii, i do przypisywania tego Bogu lub jakiemuś ślepego nieprzychylnemu fatum, co jest dziełem naszego niedośćnego, drżmiącego rozumu, a wygórowanej imaginacji. I kto by chciał na to silnie przekonywających dowodów, niech się zapyta historii, tej mistrzyni prawdy, a ta mu wskaże mnóstwo przykładów: co może fantazja nie uznająca nad sobą władzy rozumu, tego rachmistrza wypadków, i nie słuchająca jego rad, jakie zamięszania i nieporządki, jakie klęski i nieszczęścia, tak na pojedynczych ludzi, jak na całe narody sprowadza.

NA PROWINCJI

POWIEŚĆ W DWAŃCZĘŚCIACH

PRZEZ

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

Po przybyciu Siankowskich cała już parafia ruszyła pod kościół. Podjeżdżały różne bryczki, najtyczanki, koczki i karykle, a z nich wysiadali mężczyźni i kobiety różnych strojów i powierzchowności.

Aleksander otwierał portjery paniom przyjeżdżającym powozami, kłaniał się tym które przyjeżdżały w najtyczankach, a na przybywające prostemi bryczkami zaledwie patrzył, chyba wtedy gdy która z nich była młoda i ładna zerkał na nią ognieście, a gdy przeszła odwracał się do stojących obok towarzyszy i mówił półgłosem:

— Nieszpetna szlachcianeczka!

Ostatnia ze wszystkich powozów, ukazała się na placu ładna, podwójna karetka, sześciu karemi końmi założona, ze służbą w liberji.

— Pani Karlicz! ozwało się kilka głosów, i wszystkie oczy zwróciły się na Aleksandra.

Po ustach młodzieńca przebiegał drwiąco-zadowolony uśmiezek.

Z pięknej karetki wysiadła kobieta przeszło lat trzydziestu, ale jeszcze bardzo ładna. Miała ona włosy najwyższej czarność, oczy czarne ogniste, płeć śniadą, i niezmiernie długą suknię; na twarzy miała przezroczystą koronkową zasłonę, a na rękę różaniec z agatów paciorków z cennym złotym krzyżem. Cała jęj powierzchowność oznajmiała kobieć światową i z wysokości sfery, ale zarazem ognistą, wrażliwą, kapryśną i goniącą ostatkiem młodości, która świetną a burzliwą być musiała. Wsiadając, rzuciła szybkie spojrzenia na Aleksandra, który wraz z liberjowanym lokajem otwierał portjerę, podała mu rękę i zamienili z sobą kilka słów półgłosem. W końcu pani Karlicz uśmiechnęła się raz jeszcze, orzuciła piękną twarz młodzieńca ognistem spojrzeniem i weszła na cmentarz. Aleksander stanął znowu u furtki, ale zamyślił się nieco, od chwili do chwili uśmiechał się do siebie, jakby go jakieś miłe lub zabawne myśli zajmowały.

— No, pójdźmyż do kościoła, już wszystkie damy przyjechały, ozwał się Siankowski.

— Nie wszystkie jeszcze! zarzucił Aleksander.

— On jeszcze na kogoś czeka! zawołał głos jakiś.

— Ja wiem na kogo, odrzekł ktoś inny.

— Na kogóż?

— Na pannę Niemeńską.

— Czy prawda Olesiu? spytało kilka głosów.

— Prawda, odpowiedział krótko Aleksander.

— A cóżby na to pani Karlicz powiedziała? z przekąsem spytał Kotowicz.

— At, niedbale odpowiedział Aleksander, co to za porównanie! Ta Wincunia Niemeńska śliczna jak jagódka, świeża, młodziuchna. A pani Karlicz, no, zapewne to bardzo miła dama, ale z nią to można tylko tak... pour passer le temps.

— Patrzcie! i po francuzku gada! szepnął Rybiński do Kotowicza.

— A pannę Wincunę to niby mógłbyś na serjo pokochać, ty bałamucie jakiś! zawołał Siankowski.

— Do szaleństwa! zawołał Aleksander. Ja już i tak w nią zakochany po uszy, choć jeszcze trzech słów z nią nie mówiłem! nie wierzycie? Słowo dajeż że prawda!

— Czekajże, zawołał Siankowski, powiem że to ja siostrze mojej Józi!

— A gadaj jeśli chcesz! już mię teraz nikt nie obchodzi tylko jedna ona!

— Kto?

— Wincunia Niemeńska.

Chóralny śmiech zabrzmiał.

— Zapominasz Olutku że ona ma narzeczonego, zawołał ktoś z młodzieży.

— Prędzej zje diabła, a nie ją weźmie za żonę ten szlachciura! z nadąsaniem odpowiedział Olutek.

— Biednyż on! zawołał ktoś żartobliwie, już jak ty zawieźmiesz się Olesiu, to podstawisz jemu stołeczka!

Znowu nastąpił wybuch ogólnego śmiechu. W tej samej chwili z kilku ust wyrwał się okrzyk.

— Otóż i ona!

Zgrabną parokonną bryczką podjechała pod kościół pani Niemeńska z synowicą. Tuż za niemi zaturkotała także sama bryczka, i Bolesław Topolski wystoczywszy z nięj pośpiesznie, pomagał wysiadać narzeczonę i jęj ciotce.

Wincunia znowu miała na sobie różową sukienkę, tylko już nie perkalową ale strojnieszszą bo muslinową. Był to znać ulubiony jęj kolor.

Słomkowy okragły kapelusik opasany różową wstążką, uzupełniał to proste niemal dziecinne ubranie. Pani Niemeńska posłała naprzód, a Wincunia postępowała za nią obok narzeczonego, którego twarz jaśniała zwykłą mu pogodą.

Wincunia miała oczy spuszczone, zdawała się wpatrywać w trawę, którą deptały jęj drobne nóżki zgrabnie wysuwające się z pod sukienki. Gdy znalazła się blisko furtki cmentarza, podniosła nagle wzrok i spotkała się z utkwionem w siebie spojrzeniem Aleksandra. Żywy rumieniec oblał jęj twarz, a Aleksander zgrabnym ruchem zdjął czapeczkę i pozdrowił ją najpiękniejszym swoim uśmiechem i ukłonem.

Wincunia skłoniła lekko głowę i postąpiła ku kościołowi śpiesznym krokiem. Bolesław przemówił coś do nięj, nie usłyszała. Zdawała się bardzo zmieszana.

Uderzono w dzwony kościelne i po chwili cisza zupełna zaległa plac i cmentarz, tylko z wnętrza świątyni wypływały poważne akordy organów, albo wybuchał z nięj chór mnóstwa głosów śpiewających pieśni nabożne.

Po nabożeństwie, pobożni wyroili się znowu przed kościół. Potworzyły się na cmentarzu różne grupy. Ludzie poważani, zamożni właściciele i dzierżawcy, otoczyli wychodzącego z zakrystji proboszcza i rozprawiali z nim o gospodarstwie, urodzajach, wiadomościach gazetowych i. t. d.

Niemłode kobiety podchodziły też do siebie z wzajemnemi powitaniem, między niemi była pani Niemeńska a obok nięj stała Wincunia. Nie przyłączyła się ona do gromadki panien, wkoło których na wyścigi zalecała się młodzież, ale milcząca stanęła obok ciotki i trzymała wciąż wzrok spuszczonego, jakby lękała się spojrzeć na coś, co się jęj ciągle nasuwało przed oczy.

To coś, było w postaci pięknego młodzieńca, który nazywał się Aleksander Snopiński. Przeciwnie swemu zwyczajowi, nie złączył się on z młodzieżą stojącą konkury do kilku panien, błyszczących zdala mnóstwem kwiatów i wstęp na kapeluszach, i nie królował w tej grupie, jak to bywało zawsze, pięknoscą twarzy, elegancją układu i śmiałością słów i spojrzenia; ale jakiś zamyślony, nie swój, krążył wkoło grona niemłodych pań, między ciemnymi szatami których jaśniała różowa sukienka. Obok niego przeszedł raz Bolesław Topolski. Aleksander widocznie chciał z nim rozpocząć rozmowę, bo podniósł rękę do czapeczki i otworzył usta; ale Bolesław zajęty żywą rozmową z panem Andrzejem, który szedł

obok niego, nie spostrzegł intencji młodzieńca i oddawszy mu tylko ukłon zdaleka, przyłączył się do towarzystwa poważnych ludzi otaczających proboszcza.

Aleksander z niezadowoleniem zmarszczył brwi.
— Któż mnie jęj przedstawi? szepnął do siebie. Nie mogę przecie ni z tego ni z owego zagadać do niej.

I znowu zaczął krążyć około grupy kobiet, między którymi była różowa sukienka, idąc z wolna niby w zamyśleniu albo zatrzymując się i grzebiąc lasseczką w trawie.

— Ha! rzekł w końcu, cóż robić? trzeba samemu zaprezentować się!

Postąpił kilka kroków i nieosiągnął, ale nieśmiałość nie stanowiła głównej cechy jego charakteru, gdyż pochylił podniosł rezolutnie głowę, poprawił czapkę i stanął naprzeciw pani Niemeńskiej która właśnie przestała na chwilę rozmawiać z sąsiadkami. Ukłonił się zgrabnie i wyrzekł z uprzejmym uśmiechem, który pięknie ozdobił jego rozpromienioną twarz:

— Oddawna pragnę dostąpić zaszczytu zostania pani znajomym, ale ponieważ niema nikogo kto by mnie przedstawił, przebaczy pani że jako wieśniak, odrzuciwszy na bok wszelkie ceremonie, sam to uczynię. Aleksander Snopiński, dodał z głębszym jeszcze ukłonem.

— A na co te ceremonie z nami, łaskawy panie dobrodzieju, wszak i my wieśniaczki! zawołała pani Niemeńska, z zadowoleniem przypatrując się przez okulary pięknemu młodzieńcowi. Bardzo, bardzo mi miło poznać pana, żałuję tylko że tak późno... Ale pozwól pan, dodała zwracając się do synowicy: Wincuniu, pan Aleksander Snopiński jest tak grzeczny że chce zaznajomić się z nami.

Wincunia skłoniła się, podniosła wzrok na twarz młodzieńca, i oczy jej spotkały się znowu ze spojrzeniem Aleksandra, które błyszczało nietajonym uwielbieniem. Patrzyli na siebie parę sekund i oboje nagle wzrok spuścili, ale tym razem Wincunia zamiast zarumienić się zbladła trochę, a po czole młodzieńca przemknął lekki rumieniec.

Niewidzialne i niepojęte dla ogółu, ale pełne znaczenia dla spostrzegaczy, są owe zewnętrzne znaki, które ognistemi zgłoskami wypisują na licach ludzkich tajemniczą serc ich mowę. Z nich jak z przejrzyściej krepą pokrytych alfabetycznych liter, wyczytać można wnętrze człowieka, co w nim jest a nawet co będzie.

Jeżeli w rozmowie dwojga ludzi młodych, rumieniec krasi lice dziewczyny, rzecz to powszednia. Ale jeżeli pod spojrzeniem mężczyzny, twarz jej obleka się nagłą bladłością, znak to wrażliwej natury i zapowiedź potężnego, który w pierś jej wstępować zaczyna, nagłego uczucia. Dziewczę rumieni się co chwilę niekiedy, bez wyraźnego powodu jak pączek róży który rozkwitając pasowieje z natury swojej. Lecz jeżeli zblednie nagle świeże i żarem życia nie dotknięte lice, znać że w pierś przenika głęboko i do duszy się wdiera wzruszenie silne, które tam stopniowo zmieni się w płomień namietności.

Wincunia zbladła pod tryskającym iskrami spojrzeniem Aleksandra.

— Pora nam wracać do domu, rzekła pani Niemeńska po zamienieniu kilku jeszcze grzecznych słów z młodym Snopińskim, a zwracając się raz jeszcze do niego dodała:

— Spodziewam się że pan nas odwiedzi. Bardzo prosimy! bardzo prosimy!

— Jest to oddawna najmiłszem mojem marzeniem, odpowiedział Aleksander i pomógł paniom wsiadać do bryczki.

Bryczka była już daleko, a młodzieniec stał ciągle na jednym miejscu i w zamyśleniu grzebał lasseczką w trawie.

— Cóż tak rozmyślasz? ozwał się za nim gruby głos młodego Siankowskiego, pójźno na salę, pogramy w billard.

Aleksander jakby się ze snu ocknął.

— Nie pójdę, odrzekł krótko.

— Dla czego? spytał Siankowski.

— Pójdę do domu.

— Czy ci tak zasmakowały morały pewnego krewnego, że się tak spieszysz do domu, zaśmiał się pół głosem Siankowski.

— Bredzisz Franusiu! odparł z niechęcią Aleksander, wracam do domu bo mam na dziś świetne projekta.

— Jakież to?

— Nie powiem.

W tej chwili do rozmawiających zbliżył się p. Jerzy Snopiński.

— Cóż Olesiu, zostajesz pewno? zapytał syna.

— Nie papo, jadę do domu.

— Fenomen! zawołał p. Jerzy; toć każdej niedzieli zostajesz w X. do późnej nocy! Cóż to się stało?

— Mam na dziś inne projekta.

— I na salę nie pójdziesz? spytał niedowierzająco ojciec.

— Nie pójdę papo.

— Węgłem na kominie zapisać! rzekł p. Jerzy, no, ale kiedy tak, to jedźmy już bo djabelniem głodny.

Po chwili plac pod kościołem był prawie pusty, tylko krzycząc i szwargocząc biegało po nim kilkoro obdartych żydowskich dzieci, zdala dochodził turkot odjeżdżających szlacheckich bryczek, a z oberżys Szlomy wybuchał gwar pijących włościan i dawały się słyszeć uderzenie kul billardowych na facjatec.

VI.

NIEWCZESNE ŻALE.

W bawialnym pokoju Adampolskiego domu, pan Andrzej siedział obok pani Snopińskiej i opowiadał jej o wycieczce do puszczy Białowieskiej, którą odbyć zamierzał, a Aleksander chodził po pokoju, uśmiechał się, i przeciwko swemu zwyczajowi nie odzywał się ani słowa, tak był zatopiony w myślach.

Po chwili wszedł do pokoju pan Jerzy; oczy jego były mocno zafraszowane, spojrzał na syna i rzekł porywczo:

— Olesiu, widziałem że twoje konie zakładają pod stajnią; gdzież to znowu pojedziesz? Czy nie do X. na salę! trzeba było od razu tam zostać, przynajmniej byś koni darmo nie pędził!

— Nie pojedę do X. papo, odpowiedział Aleksander z uśmiechem.

— Więc dokąd polecisz?

— Nie mogę powiedzieć, papo.

— Cóż to znowu za sekret? Jeszcze tego przynajmniej nie było dotąd, abys pod sekretem przed rodzicami gdzie jeździł!

— Kochany papo, rzekł rezolutnie Aleksander, jestem dorosłym człowiekiem i mogę mieć moje sekreta; jak wrócę powiem papie gdzie byłem, a teraz nie mogę.

To rzekłszy wyszedł, uśmiechając się ciągle do siebie, pani Snopińska wysunęła się za nim z pokoju, a pan Jerzy wrzucił ramionami i markotny usiadł obok swego gościa.

Po chwili ładna najtyczanka założona czterema kołmi w lejce zajechała przed ganek, i furman, młody chłopak parę razy palnął z bata zamaszyscie. Aleksander w eleganckim warszawskim paletocie siadł na bryczkę, i konie ruszyły przez dziedziniec. Miijając otwarte okno, przy którym siedzieli ojciec jego i p. Andrzej, młody człowiek pokłonił się im z uśmiechem czapeczką i zawołał na furmana:

— Ruszaj żywo!

P. Jerzy patrzył za odjeżdżającym dopóki bryczka nie zniknęła za bramą, potem westchnął i rzekł jakby do siebie:

— Ani jednego całego dnia ten chłopiec nie posiedzi w domu!

Machnął ręką, spuścił głowę i zamyślił się. Na czole jego zda się przybijało zmarszczek pod wpływem ciężkich myśli, a w oczach zwykły im frasunek zamienił się w smutek prawdziwy.

P. Andrzej patrzył na niego ze współczuciem, położył rękę na jego ramieniu i rzekł łagodnie:

— No, mój stary przyjacielu, powierz mi swoje troski a lżej ci będzie. Bądź otwartym przedemną; nie rad jesteś ze swego syna, czy prawda?

P. Jerzy pokiwał głową.

— At, rzekł, alboż można cieszyć się z tego wiecznego próżniactwa, z tego życia z dnia na dzień, bez żadnej pocziwój myśli w głowie, jakie on prowadzi!

W słowach tych był żal i drżała obawa ojcowskiego serca.

— Wybacz mi kochany przyjacielu, mówił dalej p. Andrzej, że powiem ci prawdę, leży mi ona na

sercu, odkąd tu przybyłem. Sam winien jesteś że syn twój tak smutnie marnuje swoją młodość. Dla czegoż nie dałeś mu staranniejszego wychowania? Czemu od dzieciństwa nie zaprawiłeś, nie przyzwyczaiłeś go do jakiejkolwiek pracy?

— Ha! zawołał p. Jerzy zrywając się z krzesła: masz słusność Andrzeju, wielką słusność! popełniłem omyłkę, straszną omyłkę w wychowaniu tego dziecka, i obawiam się teraz aby mnie Bóg surowo za ten błąd nie ukarał!

— Uspokój się Jerzy, rzekł p. Andrzej, ale ponieważ weszliśmy już na ten smutny temat rozmowy powiedz mi: jak mogłeś obdarzony tak zdrowym naturalnym rozsądkiem, ty tak zamięłowany w pracy i tak gorliwie pracujący całe życie, w podobny sposób wychować syna?

P. Jerzy długo milczał, jakby zbierał myśli dla dania odpowiedzi przyjacielowi, potem otarł nieznacznie łzę z oka i rzekł:

— Słabość ojcowskiego serca, Andrzeju, przywiązanie zbyt czyste do jedynaka, były tego powodem. Bóg widzi że nie chciałem źle zrobić, bo i któż może źle życzyć własnemu dziecku? Ale nie wiedziałem sam co robiłem, jestem prosty człowiek, i zapewne przez brak oświaty, nie umiałem zmierzyć całej ważności następstw mego postępowania z dzieckiem; może zresztą i zbyt uległem wpływowi żony, która w nim zawsze widziała i widzi ósmy cud świata. Wszystko słowem złożyło się na to, aby jak najgorzej pokierować jego wychowaniem, a teraz widzę że źle się stało... bardzo źle...

Westchnął znowu i mówił dalej:

— Wiesz Andrzeju, że oprócz niego miałem jeszcze troje dzieci i wszystkie mi poumieraly w małych latach, on jeden został. Miłość nasza dla niego we czworo się zwiększyła. Póki był mały pieściłszy go z matką na wyścigi. W lat dwanaście czytał jeszcze nie umiał, bo ile razy zapłakał gdy go zaczynano uczyć, matka książkę w piec rzucała, a ja chodząc za gospodarzem od rana do wieczora, nie miałem czasu zająć się nauką chłopca. Zresztą mówiłem sobie zawsze, że w naszym stanie wielkiej nauki nie potrzeba, że będzie jeszcze na nią dość czasu. We dwanaście lat oddałem go szkół. Zdolności miał ogromne i uczył się doskonale kiedy chciał, ale rzadko chciał bo przywykł w domu do próżniactwa i same głupstwa kręciły mu się po głowie. Skończył jednak cztery klasy, a tak był zdolnym, że choć mało się uczył, jak przyjechał do domu na wakacje i zaczął rezonować o wszystkim co słyszał i widział, zdawało się że bardzo wiele umie i że skończony z niego człowiek. Po wakacjach, za nie już nie chciał wracać do szkół. Nie chcę i nie chcę. Matka także kładła mi ciągle w uszy: a dość tych nauk! a na co to nam te nauki! a Oles już i tak rozumniejszy od całej okolicznej młodzieży! Z początku nie zdawało mi się aby tak było, ale jak zaczęli mi oboje prosić, i on i matka, tak i pomyślałem sobie, że może i dobrze będzie, jeżeli chłopiec zostanie w domu i będzie mi pomagał w gospodarstwie. A trzymałem wtedy wielką dzierzawę w kowieńskim, potrzebowałem pomocy. Myślałem sobie: będę go kierował na gospodarza, a gospodarzowi nie wiele nauki potrzeba! Otóż widzę jasno że się grubo myliłem bo nauka już przez to samo dobra że przyzwyczajają do pracy, a potem już teraz taki świat że bez nauki ani rusz, nawet w gospodarstwie, a i mnie choć staremu brak jej często poczuć się daje. Koniec końców, pozwoliłem Olesiu zostać w domu. Otóż to wtedy zaczęło się zupełnie hultajstwo, tracenie pieniędzy, hulanki z młodzieżą, słowem wszystko co go i teraz zajmuje.

Nie wziąłem go od razu w karbę, nie zwracałem na niego uwagi, bo pracowałem od rana do nocy, dawałem mu czasem robotę przy gospodarstwie, ale spełniał ją raz dobrze a dziesięć razy źle, i tak poszło już coraz dalej i coraz gorzej... a teraz już niema rady!...

— Dla czego niema rady? rzekł p. Andrzej, staraj się teraz skłonić go do pracy, wzbudź w nim ambicję, przedstaw mu piękną przyszłość, jakaby niezawodnie czekała tak uzdolnionego z natury człowieka, gdyby poszedł dobrą drogą, zrób tak aby wstąpił do jakiego naukowego zakładu, wszak jeszcze dość młody na to!

— W tem to i bieda że wszystko już zapóźno; miałem tego dowód niedawno, smutnie odpowiedział p. Jerzy. W zeszłym roku zjechało się tu w sąsiedztwo kilku studentów Uniwersytetu na

wakacje: młodszy syn Siankowskich, krewni pani Karlicz i inni. Przyjeżdżali parę razy do nas, Oleś spotykał się z nimi często w sąsiedztwie. Widać zawstydził się niższości w obec nich, tknęła go jakaś ambicja, bo przyszedł raz do mnie i mówi: „pojadę na Uniwersytet!” Serce zaskakało we mnie z radości. Uściskałem go, powiedziałem że zgadzam się, błogosławię i wszelkich wydatków na to nie pożałuję! Przez jakiś czas bardzo był tym projektem zajęty, wziął od Siankowskiego spis nauk, które posiadać trzeba aby być przyjętym do Uniwersytetu. Ale nagle przestał o tem mówić, wakacje skończyły się, młodzież się rozjechała a on ani myślał o wyjeździe z domu. Zapytałem go raz: „coż Olesiu, kiedy pojedziesz?” Nie pojadę wcale, odpowiedział. Dla czego? Bo aby zostać przyjętym na Uniwersytet trzeba zdać egzamina a ja nie nie umiem, na nowo zaś iść do szkół za późno i nie chcę!... Coż miałem robić? zasmuciłem się i ostatnia moja nadzieja spełzała na niczem. Ale widać że i jemu to przykro było, bo przez jakiś czas chodził jak zabity, a ja sobie tylko myślałem, że jeden nierozsądny i fałszywy krok może wszystko zgubić, bo gdybym mu był nie pozwolił zostać w domu po skończeniu czterech klas, a wysłał dalej do szkół, chłopiec byłby teraz uczył się w Uniwersytecie. Ale tu i moja żona wiele temu wiana, oj matki, matki!...

Machnął znowu ręką i westchnął głęboko; p. Andrzej był zamyślony i smutny.

— Mówiłeś mi, ożwał się po chwili, że Aleksander ma także wielkie zdolności do robót mechanicznych. Możeby mógł i chciał wyuczyć się specjalnie jakiego rzemiosła i założyć sklep albo warsztat w jakimś większym mieście. Na to już nie trzeba skończenia siedmiu klas i zdawania egzaminów.

Pan Jerzy podniósł na mówiącego zdziwione i rozgniewane niemal oczy.

— Jakto Andrzeju, rzekł, mój syn miaby zostać rzemieślnikiem? Przecież my choć nie posiadamy własnej ziemi, jesteśmy dobrą i starą szlachcią!

Smutnie uśmiechnął się p. Andrzej.

— I coż to szkodzi? odrzekł. Alboż jakakolwiek praca ubliża człowiekowi i ściera z jego tarczy herbownej znamię zaszczytne, które przodkowie jego zdobyli także nie inaczej tylko pracą a często nawet i krwią swoją? Alboż rzemieślnicy nie są użytecznymi światu? Alboż nie ma rzemieślników którzy dorobili się niezależnego bytu a nawet sławy i bogactwa?

— A wiem, wiem, rzekł porywczo p. Jerzy, że teraz u was mądrych ludzi wszystkie stany i wszystkie rodzaje pracy są sobie równe; możeby nawet Oleś chętniejszy był do rzemiosła jak do nauki, ale ja starszości człowiek, i za nie bym nie chciał żeby mój syn był rzemieślnikiem!

— A więc, zawołał z żalem p. Andrzej, wolisz aby został pasożytem daremnie zjadającym chleb na świecie? Aby przez bezczynność wpadł w złe nałogi, stał się pijakiem albo karciarzem? Aby wśród próżniactwa i hulańek przemarnował fundusz z takim trudem przez ciebie zebrany, a potem umarł w nędzy i występku?...

Pan Jerzy milczał, oczy jego były bardzo zafasowane, czoło zmarszczone.

— A, że zmarnuje, to zmarnuje on ten grosz zebrany przezemnie w pocie czoła, ożwał się jakby odpowiadając najważniejszej trosce swojej; już i dotąd stracił nie mało. Zachęcało się paniczowi jechać do Warszawy; pojechał i stracił grube pieniądze, ale za to nawiózł z sobą marynarek, krawatów, paletotów, cukierków dla panienek i lichu tam wie czego jeszcze, a w dodatku większe jeszcze fumy i pustactwa w głowie. Trzy miesiące temu, posłałem go do powiatowego miasta z podatkami, bo obowiązałem się kontraktem opłacać podatki za Adampol. Myślisz że zapłacił? Gdzie tam! przełupał pieniądze, a były nie małe i potem napisał do mnie, abym mu przysłał inne bo tamte użył na swoje potrzeby. Musiałem drugi raz zapłacić. Trzyma sobie na stajni cztery konie których nikomu poruszyć nie wolno, na rękę nie włożył innej rękawiczki jak warszawskiej, przegrywa w billard na tej przeklętej sali, którą djabeł w postaci żyda wymyślił na pokuszenie ludzkie, i lata po sąsiedztwach gdzie tylko znajdzie jaką nieszeptną mordczkę. At!... Ot powiem ci Andrzeju, że najbardziej psują mi go kobiety, począwszy od matki

a skończywszy na tej pani Karlicz, co to sama niewie co z nudów na wsi robić. Złapała go sobie na zabawkę, zaprasza, trzyma po kilka dni u siebie, prezentuje całemu światu, chwali i bałamuci, a jemu zdaje się że on wielki bohater i ósmy cud świata. Ładny z niego chłopiec, a kobiety to tak i lgną do jego kędzierzawej czupryny i białych zębów, a tem i jemu głowę zawracają i same durzą się jak głupie stworzenia z błaznem u którego niedawno mleko było pod nosem. Już bym wolał sto tysięcy razy żeby się ożenił, może by przynajmniej statek przyszedł do głowy. Ale gdzie tam! ot i teraz poleciał gdzieś pewnie do jakiego ładnego buziaczka co się do niego uśmiechnął, a czy to właśnie pojechał on tam z poczciwą myślą, że stateczną miłością? At!

— Hm, rzekł p. Andrzej z zamyśleniem, wszystko to złe jest, Jerzy, bardzo złe.

— Oj złe! złe! powtórzył z uniesieniem p. Jerzy; to czy wiesz Andrzeju, że jak patrzę na Aleksandra i myślę sobie o tem jaka to będzie przyszłość jego, a moja na starość zgryzota, mam ochotę wleść na najwyższą wieżę jaka jest na świecie i zawołać z niej do wszystkich ojców: „hoduście synów od najmniejszych lat w miłości cnoty i pracy, nie uważajcie nauki za niepotrzebną dla nich, starajcie się aby każdy z nich miał cel życia, któryby umiował serdecznie, bo inaczej zrobicie z nich hultajów i łotrów, i sami na starość będziecie mieli, zamiast pociechy, zgryzotę sumienia i krwawe łzy do oplakiwania skutków swojej nierozwagi”.

Mówiąc to z silnym wzruszeniem p. Jerzy, przyłożył chustkę do swych zafasowanych oczów i zapłakał.

VII.

PIERWSZA WIZYTA.

W tym samym czasie gdy p. Jerzy opowiadał przed przyjacielem obawy i żale, jakimi go napętniało postępowanie syna, Aleksander prędko przebył rączkami kołmi trzywiorstową przestrzeń dzielącą Adampol od Niemenki, i w bawialnym pokoju małego dworku ożywioną prowadził rozmowę z miejscowymi paniami.

Pani Niemeńska ustrojona od święta w czepek z lilijowemi wstążkami, z widocznym upodobaniem patrzyła na młodego gościa.

Wincunia siedziała obok ciotki zmieszana nieco, mniej mówna niż zwykle, zamyślona i jakby poważna. Z tem pomieszczeniem dziewczęciem i nieco rzeźwym wyrazem twarzy, jaki rzuciły na nią długie rzesy spuszczaających się co chwilę oczów, Wincunia ładniejszą była jeszcze jak zwykle. To też Aleksander ogarniał ją co chwilę ognistym spojrzeniem, a niekiedy tak się w nią wpatrywał, że aż zapominał o odpowiadaniu na wielomówne i uprzejme pytania pani Niemeńskiej. Był on ubrany wedle ostatniej mody, wszystko na nim było cienkie, świeże, wytworne; misternie zawiązany węzeł szafirowego krawata, pięknie odbijał przy ciemnym stroju i białej twarzy. Mówił wiele i z ożywieniem, a co moment mowę swą zwracał do Wincuni: ona odpowiada mu uprzejmie, z uśmiechem ale głosem nieco cichszym jak zwykle, podnosiła na niego spojrzenie i wnet spuszczała oczy — on spojrzenia to chwytając wzrokiem w przelocie, zaglądał w nie głęboko a potem milkł na chwilę i tylko patrzył na nią.

Pod gankiem zaturkotały koła i do pokoju wszedł Bolesław.

Czemu tak późno przybywasz pan! spytała gospodyni domu, czekałyśmy na pana z obiadem.

Bolesław powitał panie, a ujrawszy Aleksandra zdawał się trochę zdziwionym jego obecnością w Niemenie.

Czy panowie znają się? spytała pani Niemeńska, gotując się już do dopełnienia ceremonij i przedstawień.

O, miałem przyjemność spotykać się z panem Topolskim w sąsiedztwach, zawołał Aleksander, i z najbardziej światową jak mógł grzecznością podał rękę przybyłemu.

Bolesław usiadł i rzekł.

Przyjeżdżam prosto z X. gdzie byłem na obiedzie u proboszcza. Zebrało się tam nas kilku hreczko-siejów i zarazem trochę literatów, więc gwarzyliśmy sobie to o tem, to o owem...

— Przepraszam pana, że wypowiem moją myśl,

z grzecznym ale nieco ironicznym uśmiechem przerwał Aleksander: nie mogę pojąć jak pan mógł przełożyć gawędkę u proboszcza, nad towarzystwo pań które go tu oczekiwały.

Uśmiechnął się Bolesław i odpowiedział:

— Moja znajomość, a nawet ośmielię się powiedzieć, moją przyjaźń z paniami jest tak starą i nie potrzebującą dowodów, że panie doskonale wiedzą jak mi jest drogiem ich towarzystwo. Ale zarazem wiemy też o tem wszyscy, że mężczyzna nie może żyć dla swego tylko choćby najulubieńszego kątka. Jego obchodzą i obchodzić powinny sprawy ogólne, a o nich jakże wiedzieć może, jak w nich weźmie udział, jeżeli nie będzie przebywał niekiedy w szerszym kole ludzi, choćby nawet ich towarzystwo nie najlepiej lubił?

Aleksander zdawał się przez chwilę nieco zmieszany tą poważną, lubo pełną prostoty tonem wygłoszoną odpowiedzią. Spuścił oczy i po twarzy jego przemknęło niezadowolenie połączone z ironją. W mgnieniu oka jednak odzyskał zwykłą sobie śmiałość i rzekł:

— Masz pan zupełną słuszność i bardzo pięknie mówisz. Ja jednak przyznaję się otwarcie, że jestem egoistą, i za nic w świecie nie zamieniłbym przyjemności jakiej doświadczyłem przepędzając tutaj tę chwilę, którą pan u proboszcza przeżył.

Na ten komplement, któremu towarzyszyło przełotne spojrzenie rzucone na Wincunię, pani Niemeńska mile się uśmiechnęła, a czoło Wincuni zabarwiło się lekkim rumieńcem.

— Co do szerszego towarzyskiego koła, nie jest ono wcale obcem panu Snopińskiemu, ożwała się gospodyni domu zwracając mowę do Bolesława I owszem, właśnie przed chwilą opowiadał nam wiele zajmujących rzeczy o Warszawie, w której przepędził czas jakiś.

— Pan długo byłeś w Warszawie? spytał Bolesław.

— Bawiłem tam przeszłego lata dwa miesiące, odparł młodzieniec muskając wąsika.

— Słyszałem o tem od pana Siankowskiego, rzekł Topolski, i dziwiło mi trochę że pan opuścił dom na tak długo właśnie w czasie żniw.

Uwaga ta wypowiedziana tonem, który nie miał w sobie nic złośliwego, musiała wydać się eleganckiemu młodzieńcowi do najwyższego stopnia nawiąną i techną stodołą, bo roześmiał się głośno i zawołał z szyderstwem, którego pokryć nie chciał czy nie umiał:

— A łaskawy panie dobrodzieju! coż to ma jedno do drugiego, podróż moja do żniw?

— Jest to pora najtrudniejsza dla gospodarzy, i sądziłem, że ojciec pana jako zawołany gospodarz, potrzebował wówczas pomocy pańskiej, odrzekł spokojnie Bolesław.

Aleksander spąsował.

— Mój ojciec ma ekonomów, którzy mu pomagają, odparł z fantazją wstrząsając złościami lokami, a pan dobrodzieju czy byłeś kiedy w Warszawie?

— Nie panie, jestem taki wieśniak prawdziwy, że oprócz naszego powiatowego miasta żadnego innego nie widziałem, i lubo nieraz pragnąłem wychylić się w świat szerszy, zajęcia, obowiązki miejscowe, nie dozwalały mi czynić dalekich wycieczek.

— Żałuj pan, żałuj! kto Warszawy nie widział ten nie widział! zawołał patetycznie młodzieniec, a powstając z krzesła i przybierając również patetyczną postawę mówił dalej:

— Tam dopiero człowiek poznaje prawdziwie co to jest życie! Ruch, tłum, gwar, ogromne pałace, piękne powozy na ulicach, bogate magazyny, a wszystko błyszczy i huczy aż człowiekowi w oczach ęmi się i w uszach dzwonić zaczyna.

— O ile wiem, blask ten i huk to tylko zewnętrzna strona tego miłego i drogiego sercom naszym miasta, rzekł Bolesław; pod blaskiem kryje się mnóstwo nędzy, a mimo huku tkwi tam myśl poważna....

— O, tak, tak, panie dobrodzieju, ale tego tam niewiadać i nie słyszeć! I po coż zresztą dopatrywać i dosłuchiwać się tych smutnych rzeczy? kiedy człowiekowi wesoło to i dobrze; a wesołoż bo tam wesoło!

I zapaliwszy się do swego opowiadania, począł dalej opisywać ulice, place, ogrody i spacery Warszawskie.

(d. c. n.)

SZKICE

Z PODRÓŻY PO WYŻSZEJ ETYJOPJI.

(Dokończenie.)

Podziękowałem serdecznie za tak łaskawe przyjęcie, po czym nastąpiła chwila milczenia, podczas którego zazwyczaj powstaje, mierzy się i zamienia wzajemną sympatją lub odrazą. Książę rozkazał wezwać najwyższych dygnitarzy wojskowych i przeszliśmy do wielkiego namiotu, gdzie zasiadł na wyniosłym *alga*, pokrytym tureckim kobiercem.

Tu p. d'Abbadie opisuje najszczegółowiej piękność i niewysłowny urok obejścia księcia; widać że mówi o osobie którą uwielbiał i kochał. „*Dedżazmatch*, mówi on, odznaczał się wyrazem mężkiej odwagi połączonej z jakąś słodką melancholią rozlaną w całej twarzy, jakoteż piękną i imponującą postawą.

„Z pod pięknie drapującej się togi, widać było trzy naszyjniki, składające się z talizmanów pokrytych czerwonym safianem lub srebrem wyłaczaną blachą, przegradzanych koralami, bursztynem i rzadkimi kryształami. Na małym palcu nosił złoty pierścionek, złożony z trzech połączonych z sobą obrączek; w każdej z nich osadzony był piękny szmaragd. Starożytny ten klejnot misterniej roboty, pochodził z Indii. Jego czarne, gęste, jedwabniste włosy zebrane były razem i przepięte wielką złotą szpilką z filigranową gałką.

I tak podróżnik nasz wraz z przyjacielem swoim, cały tydzień spędzili w obozie, gdzie na ich cześć coraz nowe wyprawiono uroczystości. Przy pożegnaniu, książę prosił p. d'Abbadie aby odwiedził jego syna, który niezadługo przybędzie do Gondar, i następnie udał się z nim do Gojam, stolicy rządu, obiecując mu mile uprzyjemnić pobyt. Lik *Atsku* i wszyscy dostojnicy przyłączyli się do prośby księcia. Pan d'Abbadie nie mogąc się oprzeć naleganii, przyrzekł zastosować się do ich życzeń, poczem udali się z powrotem do Gondaru.

W kilka dni później przybył tamże starszy syn księcia Guoscho, i po krótkim pobycie zabrał z sobą pana d'Abbadie. Przed roztaniem, *Atsku* liczne dawał mu, zalecania i przestrogi, przypominał że należy strzedz się urzekliwych oczu i ani na chwilę nie zapominać o swym ojczyźnie.

Droga którą udał się młody książę ze swoim towarzyszem, prowadziła przez wąwóz *Dinguil* na zachodni brzeg jeziora *Jzana*, niedaleko źródeł *Abbaie*, odkrytych w r. 1618 przez jezuitę *Peyra Paëz*; nieco później odwiedził je szkocki podróżny *Bruce*, — p. *Abbadie* był więc trzecim z kolei Europejczykiem, który zdołał dostać się w te strony. Przybywszy szczególnie do *Dambatsza*, mimo utrudzenia podróżnik nasz musiał zaraz udać się do *Dedżazmatch'a* *Guoscho*, chcąc o niego uczyć, prosił aby u niego spożył pierwszy posiłek. Wieczór cały przeszedł na pogadance; tak książę jak otaczający go dostojnicy dopytywali się o Francję i Francuzów, i p. d'Abbadie podziwiał delikatność księcia, odznaczającego się taktem prawdziwie światowego człowieka, dzięki któremu umiał unikać wszelkich drażliwych pytań. Powróciwszy do swego namiotu, przyjął zaraz odwiedziny pewnego uczonego krajowca, mówiono coś o lwach, p. d'Abbadie zapytał czy można w mieście kupić lwia skórę, i dowiedział się z zadziwieniem, iż w całym kraju taką były rzadkością, że zaledwie najwięksi magnaci mogli je nabywać za ogromne ceny. Sam nie wie jak się to stało, dość że jeszcze ów uczonec nie wyszedł od niego, a już książę przysłał do jego namiotu trzy przepyszne łwie skóry, aby wybrał sobie godną; nazajutrz rano prosił żeby wszystkie trzy zatrzymać. Nie może się dość nachwalił serdecznej gościnności, której coraz nowe odbierał dowody. Małżonka *Dedżazmatch* *Guscha*, *Waizoro* *Sahalu*, księżna słynąca z swego rozumu, przysyłała codziennie dowiadywać się o jego zdrowie, prosząc aby otwarcie żądał czego tylko może zapotrzebować. Nie raz mówiła mu uprzejmie, że ponieważ był oddalony od kraju, matki, siostry i rodziny, obowiązkiem jej było zastąpić mu ich miejsce. Podobne szczegóły tłumaczył nam, że p. d'Abbadie mógł się przywiązać do kraju i ludzi tak różnych od jego ojczyzny i współziomków; wszystkie dusze ludzkie od jednego pochodzą *Stwórcy*, a tak w Etiopii jak i na całej kuli ziemskiej, najchętniej zbliżamy się do tych, co zdolni są nas pojąć i dorównać pod względem moralnym.

Książę *Guoscho* codziennie z większym zajęciem wypytywał się nowego przyjaciela o Europę i jej orga-

nizację wojskową; potępiał używanie zbyt zabójczej broni, która ubezwzględnia odwagę osobistą, i podnosił z pewną dumą sposób wojowania Etiopijczyków, który jednocześnie pozostawia żołnierzowi zastęgę osobistej inicjatywy i mniej zabiera ofiar.

Pomimo uroku jaki znajdował p. d'Abbadie w towarzystwie księcia etiopijskiego, tak wyższego od wszystkich napotykanych dotąd, nie porzucił jednak zamiaru przyłączenia się do jakiegoś karawany udającego się do *Juaria*. Książę przedstawiał mu że udając się sam jeden w pośród *Gallasów*, ludu tak zafanego i tak nieprzyjawnego Europejczykom, na rozliczne naraża się niebezpieczeństwa i prosił aby pozostał na jego dworze, a niezadługo znajdzie sposobność zwiedzenia tej części kraju, gdy on wraz z wojskiem w tamte uda się strony. P. d'Abbadie zbyt oswoił się z niebezpieczeństwami aby się ich miał ulęknąć, ale ujęła go serdeczna życzliwość księcia, pozostał więc i dopiero w kilka dni później opuścił *Dambatsza*, wraz z dworem i wojskiem wyruszając na wyprawę przeciw *Gallasom*. To dało mu sposobność poznania wojennego życia Etiopijczyków i bliższego poznania ludu tak bardzo różniącego się nie tylko od Europejczyków, ale nawet od pokolenia względnie ucywilizowanego, którego losy czasowo podzielał.

Książę postępował na czele armii i często zatrzymywał się dla wysłuchania skarg poddanych swoich, a te poniekąd patryarchalne sceny, których p. d'Abbadie nieustannie był świadkiem, przekonały go jak prawdziwie szlachetny ten książę kochanym był od swego ludu. Pod jego rządem kraj cieszył się spokojem, podatki były bardzo małe, więc je chętnie płacono; ludzie zdawali się szczęśliwi.

Dotąd p. d'Abbadie odbywał podróż na mule, aż jednego poranku przyprowadzono mu pięknego wierzchowca; ucieszył się tem bardzo, ale nazajutrz przyjaciele objaśnili go, że dar taki zniewala obdarowanego, aby przynajmniej czas jakiś podzielał losy swego donatarzusa. Od tej chwili *Gojamesi* uważali pana d'Abbadie jakby za swego rodaka, i otaczali go nieustannie troskliwością i przyjaźnią. Z wielkim wdziękiem opisuje różne mniej więcej dramatyczne przygody swego tam pobytu; przytoczymy jeden ustęp.

Pewnego ciemnego bardzo wieczora, podróżnik nasz wracając do swego namiotu, potknął się o jakiś przedmiot leżący przed nim na ziemi; kazał podać pochodnię i przy jej blasku postrzegł leżącego na ziemi śmiertelnie rannego *Gallasa*. Zdjęty litością kazał rozniecić ogień, ułożyć go z suchych liści i złożyć na nim rannego, poczem sam podał mu chłodzący napój. Przyszedłszy nieco do siebie, *Gallas* opowiedział że *Gajamitesi* napadli na niego gdy spokojnie pilnował trzody swojej, okrutnie się z nim obeszli, a nadto uprowadzili jego żonę, dzieci i brata; co widząc, korzystał z nocnej ciemności, i mimo ciężkich ran przywlekł się do nieprzyjacielskiego obozu, aby przynajmniej umierać nie daleko od swoich. Prosił p. d'Abbadie, aby mu wyjednał uwolnienie, na co książę chętnie się zgodził. Ujrawszy około łóża rodzinę swoją, biedny umierający zdawał się wracać do życia, i rzekł z uczuciem do swego dobroczyńcy:

— „Cudzoziemcze, podniosłeś mnie upadłego; obecnie sam przez się jestem już niczem, ale znaczę jeszcze coś przez rodzinę moją liczącą w sobie wielu ludzi, których przychyłność bardzo jest cenioną. Ty przyjąłeś mnie, dałeś mi ratunek i wróciłeś mi duszę moją, mówiąc: „Oto oddaję ci twoją żonę, dzieci i brata.“

Powiadano mi że pochodzisz z bardzo oddalonego kraju, który opuściłeś aby sobie po całym wędrować świecie; może kiedy i do nas zawitasz. Jeśli żyć będę, dam ci konia, tłuste trzody, i wonnego miodu, a moja rodzina i sąsiedzi przyjmą cię jak brata, bo wszyscy w moim kraju wiedzieć będą, jak wiele wienien ci jestem; jeśli zaś okryją mnie togą nie ulegającą zniszczeniu (ziemią) synowie moi wypłacą się za mnie z długu. Co bądź się stanie, niech dobro jakieś mi uczyni, spadnie na ciebie jak błogosławiona rosa!... A młoda i ładna żona rannego, dodała: — „Niech Bóg ma ciebie w świętej opiece swojej za to, że mi wracasz męża, dzieci, ojczyznę i mego przyrodzonego opiekuna.“ Tak bowiem, zgodnie z słowami Biblii, nazywała brata męża swego.

I tak trzy tygodnie przeszło towarzyszył armii etiopijskiej, przebiegającej kraj cały, staczającej tu i ówdzie pomniejsze utarczki, póki jedna stanowcza bitwa nie zapewniła im zwycięstwa. Szczegóły tej kampanii bardzo są zajmujące; bezstronność nakazuje p. d'Abbadie przyznać, że może znów *Gallasowie* nie

byli tak dzicy i okrutni jak ich przedstawiali *Gojamesi*.

Zaledwie armia wróciła do kraju, już o nowej myślanej wyprawie, którą jednak opóźniła choroba księżnej *Waizoro*. Mocno zaniepokojony książę, prosił gościa swego aby ją odwiedził i dał jakie skuteczne lekarstwo. Kiedy p. d'Abbadie tłumaczył się zupełną nieznajomością medycyny, książę odpowiedział mu nie bez pewnej słuszności, że zawsze znał ją lepiej od nich wszystkich. Nie miał co na to odpowiedzieć.

„Gdy wszedł do *Waizoro*, mówi, zastałem sześćdziesiąt żon i córek miejscowych dygnitarzy, które siedziały przed firanką alkowy, wszystkie płakały. Wszedłem za firankę. Na łóżu zasłanym białymi togami, młoda księżna leżała jak martwa, z zamkniętymi oczami, z głową wspartą na hebanowej poduszce. U wężłowia stał jej jałmużnik, siwobrody kapłan trzymający krzyż w ręku, a w nogach łóżka kleczała młoda, cudnie piękna kobieta, krewna i ulubienica *Waizoro*; łokciem wsparta o posłanie, pochylała się całując i oblewając łzami rękę księżnej.“

Rozpytawszy się jak najdokładniej o przebieg choroby, podróżnik nasz udał się do księcia, proponując mu spróbować bardzo energicznie działającego lekarstwa, oznajmiając zarazem iż lęka się aby w razie pogorszenia, nie był uważanym za jego sprawcę.

„Możnaż złym lub głupcom zabronić potwarzy lub obmowy? odrzekł książę. Nie lękaj się niczego, przyrządź co prędzej lekarstwo, Bóg nam dopomoże.“

Zrobiono lekarstwo i z trudnością wiano go w usta zemdlonej księżnej. Wszyscy byli przekonani że umiera, i dla tego odezwały się pogrzebowe dzwony, gdy nagle, z wielkiem zdumieniem obecnych, chora poruszyła się, a niezadługo otworzyła oczy, i zobaczywszy przy sobie obcego mężczyznę, rzekła łagodnie. „Widać źle bardzo było ze mną.“ Od tej chwili zaczęła coraz lepiej przychodzić do siebie, uspakajając jałmużnika i otaczając ją kobiety, zażądała błogosławieństwa kapłana i rzekła: „Niestety! kochany gościu, jakże życie nasze znikome, jedna chwilką i już nas nie ma!“

Jeszcze przez kilka dni następnych p. d'Abbadie otaczał swemi staraniami śliczną pacjentkę, co dało mu sposobność długo z nią rozmawiać i podziwiać podniosłość myśli i wdzięk wystąpienia.

Zaraz po wyzdrowieniu księżnej, rozpoczęto nową kampanię, i znowu autor opisuje bardzo zajmujące utarczki, bitwy i różne epizody wyprawy. Między innemi powiada, iż Etiopjanie mają zwyczaj, że jeśli podczas bitwy spotykają jakiegoś nieprzyjaciela, który zdaje się być zdjęty przerażeniem i trwogą, zamiast ugodzić, mówią mu: *Aiżo!* co znaczy *przysiędź do siebie!* Stara nasza Europa nie poszczęści się pewnie taką grzecznością podczas wojny.

Autor nasz twierdzi, że Etiopijczycy zalecają się odwagą i nieograniczonem poświęceniem dla swych przywódców, a jeśli w ostatnich czasach wojsko opuściło cesarza *Teodorosa*, przez co tak Anglikom ułatwiło zwycięstwo, to nie zapominajmy że nieśczęśliwy ten monarcha, sam przygotował swój upadek, ponieważ przez zły rząd i popełnione okrucieństwa, stał się bardzo niepopularnym i stracił miłość poddanych.

Nareszcie p. d'Abbadie musiał opuścić swego, jak mówi ukochanego księcia, gdyż nadchodził czas w którym miał w *Mussawie* zjechać się z bratem. Smutne to było rozstanie, bo obaj pokochali się szczerze; na usilne prośby musiał przyrzec księciu, że jeszcze go kiedy odwiedzi. Jeden z potężnych naczelników etiopijskich nalegał usilnie, aby przyrzekł uroczystie że na zawsze pozostanie wiernym swym afrykańskim przyjacielom i sam wykonał przysięgę według formuły etiopijskiej, mocą której przyzywał na siebie wszelkie klęski i obrazy strasznej śmierci, jeśliby zapomniał kiedy o przyjaźni łączącej go z europejskim przyjacielem.

Cała ta podróż śmiałego podróżnika, najeżona była rozlicznymi przygodami i niebezpieczeństwami. I tak, między innemi, gdy raz wypadło mu powrócić do państwa *Dedżad* *Ubie*, znowu za jakieś wykroczenie przeciw etiopijskiej etykietce, o mało co nie został ukarany ucięciem ręki i nogi. Ponawszaj trudności, przybył nareszcie do *Mussawy*, gdzie znalazł brata swego p. Antoniego d'Abbadie który wierny danemu słowu przybył z *Paryża*. Tak więc wyjeżdżając z dwóch tak odległych punktów wszech świata, obaj jednego dnia, o trzy tylko godzin różnicy stanęli w *Mussawie*.

Obaj mieli zamiar zabawić jeszcze czas jakiś w tym ciekawym kraju, ale stan zdrowia p. Anto-

niego. d'Abbadie, zmusił go szukać zdrowszego klimatu. Udali się więc do Aden, a z tamąd do innych posiadłości angielskich, co dało im sposobność porównać gościnność jakiejś doznawali w tych niby dzikich krajach, z gościnnością ludzi ucywilizowanych. Porównanie to nie wypadło jakoś na korzyść ostatnich; p. d'Abbadie żałował bardzo Etyopijczyków, i z radością powrócił do ukochanych swoich Gojamitesów, od których doznał tyle serca i uprzejmości.

Na tem kończy się ogłoszony tom podróży p. d'Abbadie; wiemy iż całe lata przepędził w tych krajach i zaledwie gorące prośby niespokojnej rodziny, skłoniły go do powrotu. W tych kilku kartkach, daliśmy tylko pobieżny rys jego podróży, — pragnących zaś poznać dokładnie początkowe dzieje Etyopji, historję jej wielkości i upadku, oraz obecny stan religij, jakoteż ciekawe szczegóły organizacji cywilnej i ekonomicznego zarządu tych oddalonych krain, odsyłamy do dzieła w którym autor z doskonałą znajomością rzeczy obszernie traktuje wszystkie te szczegóły.

Dotąd piękna ta okolica zbyt jeszcze mało znana jest wielkim narodom, które z tego powodu za nadto ją lekceważą, a jednak w tym starym pniu tak wiele jeszcze jest życia, że łatwo może odzyskać i nowe puścić odrośle. Wieki może upłyną nim zdoła wrócić do życia, ale przy pracy i wytrwałości, wielkich można dokazać tu rzeczy, jeśli tylko narody ucywilizowane zechcą ją podźwignąć, swego uczając światła.

J. Belejowska.

Pogadanka.

W Gazecie Warszawskiej pan X. jeszcze w Lipcu podał bardzo pożądaną wiadomość o zakładzie rękodzielniczo — przemysłowym dla kobiet, mającym się założyć w Warszawie. Dziś zakład ten już funkcjonuje, a zbyt to ważne przedsięwzięcie aby je w milczeniu pominąć.

W ostatnich czasach — powiada p. D. wiele umysłów gorliwie przeprowadzało myśl równouprawnienia kobiet w położeniu i stosunkach społecznych, traktując o ich samodzielności i warunkach bytu. Idea ta miała równie gorliwych obrońców jak przeciwników. Polemika przeczącą dziś nie byłaby już na czasie, gdyż tak żywotna kwestja, jak jest zabezpieczenie niezależnego bytu kobiety i zdobycie sobie stanowiska społecznego przez jej własną pracę, jest już rozstrzygniętą na stronę kobiet i usankcjonowana uznaniem ogółu. Umiejętne skierowanie inteligencji kobiet i zdolności ich do pracy, wywrzeć może nie tylko wpływ przeważny na ich byt i stosunek społeczny, lecz i na przemysł krajowy korzystnie oddziaływać powinno; a przy takim skierowaniu ich pracy same wówczas wyrobą sobie to, czego rozumowanie bezczynne dać im nie może. Usunąć zatem należy tylko przeszkody, stanowiące tamę dla kobiet, przeciwko wprowadzeniu ich w dziedzinę działalności pracy męskiej. Lecz nie dość znać zło i środek go leczący; należy jeszcze umiejętnie użyć tego środka, aby szkodliwym się nie stał. Myśl ta i u nas ma wejść w wykonanie. Będzie to wprawdzie tylko początek, ale obmyślany dobrze. Początkiem tym ma być zakład w rodzaju wyłącznej dla kobiet szkoły, pod nazwą zakładu rękodzielniczo-przemysłowego, wyłącznie dla kobiet, w celu udoskonalenia ich praktycznie w sztukach i rzemiosłach odpowiednich, jako to: drzeworytnictwie, grawerstwie, litografii, zecerstwie, introligatorstwie i innych. Zakład ten wkrótce, bo podobno w połowie przyszłego miesiąca ma być otwarty, gdyż jak naświe zapewniono, wypisane dlań z zagranicy przyrządy i maszyny już są w drodze. O ile nam wiadomo, nie wszystkie jednak sztuki i rzemiosła z wymienionych będą od razu traktowane, lecz kolejno, a w miarę potrzeby zakład rozwijać je będzie. Przyszłość zatem zakładu, skoro raz otwarty zostanie, wyłącznie od kobiet zależeć będzie, o ile one liczniej i gorliwiej pospieszają, korzystać z nowo otwartej dla nich drogi do pracy, która im zapewni samoistość, byt i stanowisko społeczne nada, a w krytycznej chwili zmiany losu od ostateczności i upadku uchroni.

Do zakładu dla praktycznego nauczania zamówieni zostali z pierwszorzędných zakładów umiejętni pracownicy do traktowania każdego rodzaju pracy.

Płaca za naukę ma być jak najniższa, wysokość jej jednak wprost od ilości zapisanych kandydatek zależeć będzie. Im zatem licznej kandydatki zapisywać się będą, tem więcej ułatwią przystęp i biednym do nauki.

Dla otoczenia zaś troskliwą i stosowną opieką uczennice, żona otwierającego zakład, jakkolwiek matka kilkorga dzieci, pierwszą ma być elewką, aby swoim towarzyszkom zapewnić przychylność i opiekę, a samą udoskonalając się dla objęcia samoistnie zakładu; gdyż otwierający zakład, mając czas innymi obowiązkami zajęty, tylko ogólny i zewnętrzny kierunek przyjmuje.

Pierwsze uczennice jakie się udoskonalą, mają być przeznaczone do pomocy nauczycielom, a to za stosowne ze strony zakładu wynagrodzenie; gdy zaś udoskonalenie uczennice pozwoli zastąpić w zupełności nauczycieli męczyzn, wówczas cały zakład rozwijać się i działać będzie pod wpływem jedynego motoru, którym będzie praca udoskonalona kobiet i ich inteligencya.

Że wprowadzenie podobnej myśli w wykonanie chętnie przez ogół przyjęte zostanie, o tem nawet na chwilę wątpić nie można: że zakład zyska odpowiednią liczbę uczennic i to zdaje się pewnem, zachodzić tylko może obawa, co uczennice wychodzące z zakładu robić później będą, pomnażając dzisiejszy zastęp pracowników biedzących się ze znalezieniem odpowiedniego zarobku. Obawę tę winny usunąć widoki większego przyszłego rozwoju wszystkich gałęzi pracy ludzkiej. W dziejach ludzkości podobne stagnacyjne głosy nie są rzadkiem zjawiskiem; w czasie ich przechodu inteligencya ludzka jakby zmęczona przymusowym wypoczynkiem, z podwójnemi później występuje siłami. Każda wówczas chwila naznacza się nowym ruchem, wzmagając potrzebą, mnoży żądania, wysiłki pracy ludzkiej nowego dostają bodźca, w całym przemyśle tworzy się postęp, ciągły, nieustanny, i odrzucając ręce nieudolne inteligentnym daje pierwszeństwo. Kto je przedźję zdobyć, kto na chwile takie będzie przygotowany, ten wygra: kto w zaspaniu zastygnie, z mozołem nigdy się nie rozbrata. Jest to prawo nieodwołalne, a należy być mądrym swojego czasu jak Pismo powiada.

Nie pytając się o następstwa, ubogie panienki niech idą do zakładu głównie dla nich utworzonego, w każdym wypadku nic na tem nie stracą, a zawsze doczekają się owoców ze swęj pracy, choćby im nawet i poczekać coś na to wypadło. Z rozwojem zakładu zapewne i inne rodzaje pracy nauką objęte zostaną: jest ich dosyć a kto wie czy i włączenie buchalterji kupieckiej nie byłoby korzystnem. Nie trzeba tylko się zrażać trudnościami, a znajdując się i to pewno niemale, wywołane obawą konkurencji z przyszłemi zdolnemi uczennicami i rozmiłowaniem się w staręj rutynie z dziada na syna i wnuka przekazywanęj.

Gdyby przy takim zakładzie, lub niezależnie od niego, urządzono naukę przemysłu wiejskiego czy to kobiecego, byłoby to nader pożądanem. Ale zostawmy to dalszym czasem, niechże wprzód jedno nabierze życia i wkorzeni się.

Chodzą także pogłoski o uzyskaniu pozwolenia na założenie stowarzyszenia Orfeonistów, na wzór podobnych za granicą znajdujących się. I to nabytek byłby wielce pożądanym. Muzyka, jak powiada poeta, ta matka pieśni a poezja ucha, nie tylko wyszlachetnia uczucia, łagodzi je i uczłowiecza, ale wpływa dodatnio na czynności ludzkie, choćby nawet czysto mechaniczne. Harmonja rozlana w tonach muzycznych wdrażając się w pojęcie, pomału przepełni całą istotę ludzką. Rozmówiony w niej mimowoli upodoba ją wszędzie gdzie tylko spotka, w czynnościach, w myślach, w mowie nawet i ze wstrętem odwróci się od tego, co mu się przedstawi nieharmonijnem. Ten sam wpływ wywrze i dokładność muzycznego wykonania, do jakiego nas przyzwyczaiły, publiczne wystąpienia orkiestr zarówno teatralnej jak Bilzego. Słuchacz wdrożony w słuchanie tak dokładnego wykonania, zamyka je, bo pozna niejako dotykalnie cały wdźwięk jakim się otacza i ile sama rzecz na tem zyskuje. Dokładność więc stanie się jego potrzebą, wcieli ją w siebie, przesyca i potem starać się będzie naznaczyć nią każdą swoją czynność, wszystko co robi i czem rozporządza, choćby to szło o zawiązanie krawatki lub otarcie kurzu z domowych sprzętów. Nie jest to naciągnięte rozumowanie: w kształceniu głowy i serca,

wszystko się spleta w jeden harmonijny wieniec, i nigdzie nie można oznaczyć granicy, gdzie wpływ zbawienny jakiejś nauki kończy się, a gdzie drugi zaczyna. Wszystkie się wzajemnie posilają, wspomagają, gdzie jedna nie może, druga idzie w pomoc, jedna ociosuje, druga wygładza, ta tworzy materjał, druga odziewa go w estetyczne formy. Gdy by w nauce szło tylko o wiadomości, zbiór ich większy lub mniejszy stanowiłby wartość człowieka: ale ludzie są istotami towarzyskimi, muszą z sobą żyć, wzajemnie ulegać, robić ustępstwa, przebaczać, znać ważność obowiązków, zobowiązań, umieć pociągnąć do siebie, czego już nie nauczy sam ścisły wykład naukowy. Sztuki piękne ważnym tu czynnikiem, choćby nie było talentu to samo otoczenie niemi bez wpływu nie pozostanie.

Orfeonistów więc przyszłych, jeżeli kiedyś pod tą nazwą zbiorą się w jedno gronko rozpieczęściwacy kościelni i salonowi, powitamy z największą życzliwością. U nas koncert nawet w Warszawie, jest rzeczą nie małej wagi; — ułożyć go dla braku sił odpowiednich nie każdy może, szczególnie gdy idzie o dobrze wyrobione chóry. Na uroczystość muzyczną w Bostonie, zapowiedziano orkiestrę złożoną z tysiąca osób i chóry z dziesięciu tysięcy śpiewaków i dwudziestu tysięcy głosów dziecięcych. I każdy uwierzył zapowiedzi tak olbrzymiego koncertu, nikt się przedsięwzięciu nie zadziwił, bo czuł że może być wykonane. U nas najmniejsze muzyczne zebranie, ileż kłopotu przedstawia! Za granicą..... przerwałem nagle pismo, bo uczulem trącenie w łokieć i głos pana Przekora, którego przedstawiłem już nieraz w pogadankach.

— Dajże pokój — mówił ze swoim zwykłym szyderczym-piołunowym uśmiechem. Orfeoniści znów ci klepki myśli zaklinowali, dajże pokój, nie bądźże marudziarzem. Ludzkość, czy tam społeczność, pójdzie swoją drogą, choćbyś jej gadał, nadgadał, że źle co robi i że powinna iść na prawo nie na lewo.

— Nie zupełnie.
— Dziwak jesteś — przerwał Przekora — dla czego nie namawiasz do picia szampana, owego twórcy fantazji i wesołości?

— Owszem — owszem, nie mam przeciw jego konsumcji i radbym aby go u nas wszyscy pili, ale bez uszczerbku domowego budżetu. Jesteśmy ludźmi, nie można więc zapominać i o materialnej stronie, a kieliszek szampańskiego czasami, choćby nawet cała butelka, przy jakiej niezwykle radosnej chwili, przy.....

— Więc czemu nie namawiasz — przerwał mi nagle, do założenia fabryki wina szampańskiego, ale dobrej a przynajmniej lepszej od znajdującęj się w Grochowie? W roku zeszłym fabrykanci francuzcy świetnie z tym trunkiem porobili interesa, bo wyprodukowali sześćnaście milionów butelek, z tych jedenaście milionów wyprawili zagranicę, a cztery wypili sami z żonkami, wznosząc toasty na cześć piękności, cnoty, męstwa, postępu, i t. p. Wychwalane tak przez was miody, maliniaki, dereśniaki, różne nalewki, dobre są a nawet wyborne, ale zbyt pospolite, bo je może mieć każdy, zamilowany w sadownictwie i pszczolach. Butelka zaopatrzona etykietą zagraniczną, uroczej się przedstawia, nęci i zachwycza zarazem.

— Prawda, ale jest przywieziona a nie wydobyta z własnego przemysłowego zabiegu.

Przegląd literatury zagranicznej.

OPTYKA I SZTUKI PRZEZ AUGUSTA LANGEŁ.

(Dokończenie.)

Nie mówię już o powszednich usługach codziennie nam oddawanych, i do których tak nawykliśmy że już nie czujemy ich wagi, ani cudownego stosowania się do wszelkich potrzeb naszych. Chcę jedynie uważać oko jako narzędzie wiedzy, jako przyrząd umieszczony pomiędzy mózgiem a światem zewnętrznym. Jaka jest wartość tego organu, po pierwsze, jako narzędzi optyczne, i powtóre, jako narzędzie fizjologiczne przez przyjmowanie wrażeń? Pytanie to wyda się dziwne ludziom przywykłym do uważania wszystkiego ze stanowiska celów ostatecz-

nych, przekonany, iż oko ludzkie jest poprostu doskonałym, iż nie możnaby wymyśleć nic stosowniejszego do widzenia świata zewnętrznego, nie coby pojęciu dało jaśniejszy i prawdziwszy pogląd na wszystkie rzeczy. Uwielbienie to zmniejsza się cokolwiek przy badaniu budowy oka ludzkiego w uczonych nowoczesnych traktatach w przedmiocie fizyki, fizjologii i okulistyki.

Umysł skłonny jest zbyt do wyobrażenia sobie czegoś, coby posiadało same dodatnie strony a żadnych ujemnych. Wszakże wynikłość z badań nad okiem przedsiębranych ze stanowiska krytycznego, nie ma nic zbyt upokarzającego dla człowieka; jeżeli wyznać musimy iż organ nie jest bynajmniej doskonałością, to wolno także pochwalić się zadziwiającym sposobem użytkowania onego przez ludzi. Zaiste mniej godnem jest podziwu ugrupowanie nerwów i mięśni, aniżeli owa szybkość, owa przenikliwość i pewność, z jaką pojęcie ludzkie obrabia wrażenie podane mu przez pośrednictwo zmysłów, i jak wbrew tysiącym przeszkodom o których pomówimy, pojęcie to umie opanować przestrzeń, wyróżnić kształty nieskończenie odmienne, dostrzegać wszystkie rzeczy jasno i dobitnie, wreszcie osądzić instynktową bystrością. W samej rzeczy zmysły są nam sługami, i zmuszamy je do pracowania ku wszelkim naszym potrzebom. Oko nowonarodzonego jeszcze bez spojrzenia kołuje po świecie, a delikatne i niepewne dłonie wszystko chwytają, chciałyby wszystko zagarnąć. Kształcenie się zmysłów rozpoczyna się w kolebce: niedługo te dłonie, te oczy wszystko zdobędą, lecz z czyją pomocą, na czyją korzyść. Umysłu.

A więc krytyka zmysłów poniża organy, wyświecając dobitniej niezależność i godne podziwu zasoby umysłu, tej tajemnej siły która przyjmuje wrażenia, ocenia je, obrabia, i nagina do własnych widoków. Nic to nieznaczy że dźwięk wypełnia się brzmieniem harmonijnem i kilka fibr nerwowych w głębi ucha poruszy: jeżeli chcemy ażeby czucie skupiło się, będzie ono pojedynczem mimo wielości wrażeń. Czucie bez wątpienia jest zawsze w ścisłym stosunku z wrażeniem, lecz nie inny to stosunek jak słowa pisanego z przedstawioną przez niego rzeczą. Wyraz ma zawsze to samo znaczenie dla naszej myśli, jakkolwiek będzie kształt lub rozmiar głosek drukarskich: tak samo oko rozezna drzewo lub konia w każdej odległości, w każdym oświetleniu, jakkolwiek zatem różne są wrażenia materialne sprawione na błonie ocznej.

Dla określenia dokładnego fenomenu widzenia, trzeba najprzód zbadać oko jako proste narzędzie optyczne, potem jako przyrząd czucia i zwierciadło wrażeń; to nas doprowadzi do punktu ważnego przedewszystkiem dla filozofa, do śledzenia, ile danych wrażenia te dostarczają dla poznania świata wewnętrznego, i do ocenienia tychże wartości, dokładności i trwałości.

Po dopełnieniu czego, w drugiej części niniejszego dzieła następuje rozpatrzenie korzyści, jakie sztuki odnieść mogą z naszych ogólnych wiadomości o wrażeniach, a w szczególności o prawach widzenia. Albowiem fenomena optyczne nie tylko fizyka i filozofa interesować mogą; największej wagi są one także dla tych, którzy za pośrednictwem architektury, rzeźby i malarstwa do umysłu naszego przemawiać pragną: kształty, rozmiary, barwy wszystko są to zgłoski języka, którego, że tak powiem, gramatykę najpierw poznać winni.

DO JEDWABNIKA.

WIERSZ

skreślony nad jeziorem Como w kraju jedwabników.

Biedny, marny jedwabniku,
Żyjesz ledwie krótką chwilę,
A w twym życiu zmian bez liku,
Tyle przygód! pracy tyle!

Oto widzę..... drobne ziarno,
Z tego ziarna dziw nad dziwy!
Czas lupinkę stracił marną,
I wybiega prosek żywy,

Iskra życia w prochu drgnęła,
Niechże w siły wzrasta wiosną,

Nim dokona swego dzieła,
Nim skrzydelka mu wyrosną.

Z iskry płomień tryska w łonie,
Pierś niesytą pali do dna,
Chmury liści robak schłonie,
A pierś wiecznie — wiecznie głodna!

Dajcież morwy! jeszcze... jeszcze?
W tym się zachwiał... drży nieśmiało.....
Snać przecucie rzekło wieszczę:
„Żyć by użyć, o! to mało!“

Pierzchł omamień sen uroczy,
Skrucha żalem pierś przygniata,
Zwrócił robak w siebie oczy,
„Dość jam, rzecz, brał ze świata!“

„Głos ten w piersi czyż zagłuszę?
„Poki iskra tli w niej żywa,
„W zamian świata wysnuć muszę,
„Długą, jasną nie przedziwa.“

I nie złotą snuje z siebie,
Coraz dzielniej, coraz śmiej,
I wnet cały się zagrzebie,
W drogocennej swój kądzieli.

O robaczku biedny, marny!
Tyś półmartwy był w kokonie,
Lecz nie przepadł trud ofiarny,
Skra w twój piersi znów rozplonie.

Oto w ciszy tajemniczej
Lotne skrzydła z bark ci rosną,
Bóg twój próby dni policzy,
I wylecisz w świat radośnie.

Zwróć w ziemię wzrok zdumiony,
Po błękitnem krążąc niebie,
Niech ci błysną drogie plony,
Któres z raju wysnuł z siebie.

S. D.

Przegląd muzyczny.

MUZYKA KOŚCIELNA.

Modlitwa do Najświętszej Panny z towarzyszeniem organu lub fortepianu (ton Cm.) słowa M. Radziszewskiego, muzyka Karola Stadzińskiego na tenor (g—as) 45 k. Piękna pieśń, pisana z uczuciem, umiejętnie, posiada właściwe cechy stylu kościelnego i jest efektowną dla śpiewaka. Frazes muzyczny (w as) odznacza się istotną pięknoscią. Zarzucić można tylko drobnostek parę, mianowicie: w takcie 6 na samym początku i 10 mniej piękne a więcej manierowe dwa razy związane *es, f*, pięknie byłoby z ćwierciową *d* a na str. 5 nieco przydługie przygotowania dla wejścia w as.

MUZYKA SALONOWA NA DWIE RĘCE.

Preisinger L. Paraphrase bohème z pieśni „za wodu za wódką“ (kop. 75). Może dla tego że mniej wdzięczny temat obrany z pomiędzy tylu innych uroczych czeskich pieśni, dość że całość słaba i bez wdzięku traktowana.

O bieliznie.

Zwiedzaliśmy magazyn P. Wilczewskiego mieszczący się w gmachu Resursy Obywatelskiej, dla powzięcia wiadomości o bielinie i wszelkich nowościach wchodzących w jej zakres.

Taniość jaką się odznaczają niektóre oglądane przez nas przedmioty, połączona z wykończeniem starannem, niepozostawia nic do życzenia. Polecamy szczególnie czytelnikom naszym, kołnierzyki z mankietami i gorsy do koszul męskich, wszystko to bowiem w domu uszyte ręką a nie na maszynie, pewnie więcejby wyniosło, rachując czas i materiał.

Najmodniejszy sposób przystrojania gorsów męskich koszul, do kamizelek wyciętych, jest to drobny haft pokrywający gors na przestrzeni wycięcia kamizelki. Inny rodzaj do skromniejszego ubrania są

gorsy układane w drobniuchne zakładeczki poprzeczne, które przytrzymują ząbki z płótna przystębnowane w maszynie, a przebiegające długość gorsu. Nareszcie koszule codzienne, mają gors zupełnie gładkie z podwójnego płótna, które za całą ozdobę mają przez środek przechodzącą, wzdłuż jedną ozdobną listewkę, na którą gors się zapina. Niepotrzebujemy dodawać, iż rozmaitość w ozdobienu tych koszul, jest tak wielka, iż najwymyślniejszy gust zdoła zadowolnić. Ceny są następujące: tuzin męskich koszul z kołnierzami i mankietami według upodobania, z gorsem o jednej listewce, grubsze nieco w stanach od 36 rs.

Wykwintniejsze są droższe stosunkowo.

Gorsy do koszul najtańsze, z pięknego perkalu od 45 kop. za sztukę, z płótna od 1 rs., haftowane wypukło od 2 rs. i wyżej.

Na zakończenie wiadomości o koszulach męskich, dodajemy; że najwięcej ich się wyrabia z kołnierzami i mankietami do przypinania.

Koszule kobiece widzieliśmy tu niemniej gustownie i starannie wykończone, a bogato ozdobione haftem i walansienką. Wszystkie koszule modne, wycięte, są robione z karczki, naśladowacami albo wycięcie *en coeur*, albo przystrojenie szelkowe. Wiele bardzo tych koszul ozdabiają wodami objętymi z obu stron małymi ząbkami haftowanymi. Cena koszul jest od 36 rs. za tuzin, karczki przy nich zupełnie gładkie ostatebnowane w maszynie. Eleganckie bardzo, haftowane i zdobne koronką, kosztują 90 rs. za tuzin i wyżej.

Garnitury damskie składające się z kołnierzyka i mankietów, najbardziej modne są formy marynarskiej, ułożone w rozmaity deseń z drobniuchnych zakładek i karbowanej falbanky płócienną zakończoną walansienką. Konieczne dopełnienie takiego kołnierzyka stanowi koronkowa mała krawatka. Cena takiego garnituru jest 2 rs. Garnitury perkalowe są od 45 kop.

Bogato haftowane i objęte falbanką z prawdziwej koronki, z żabotem na przodzie wykładanym na stanik kosztują od 2 rs. 50 kop. i drożej.

Oprócz powyższych wymienionych towarów, w magazynie P. Wilczewskiego znajduje się ogromny wybór haftów wszelkiego rodzaju, oraz imitacje koronek *point de Bruxelles*, *point à l'aiguille* w różnych cenach; lecz o tych jako o rzeczach należących wyłącznie do większego stroju, obszerniej pomówimy w karnawale, — dziś wolimy raczej wspomnieć o bielinie stołowej.

Do codziennego użytku bielizna ma deseń w kratkę lub w kostkę, zakończoną u dołu wązkim szlakiem. Cena takiego garnituru na 6 osób, składającą się z obrusu i sześciu serwet, kosztuje 1 rs.

Bogatsza bielizna ma desenie prześliczne w kwiaty lub liście tylko; takie gatunki nazywają się adamaszkowe, — cena garnituru na sześć osób 19 rs. i wyżej.

W tymże magazynie znaleźć można znaczny wybór płócien pochodzących z najcelniejszych europejskich fabryk, jakoto belgijskie, bielefeldzkie, angielskie i szląskie. Płótna kopowe mające w sztuce 59 łokci kosztują od 13 rs. i wyżej.

Bielefeldzkie mające 60 łokci w sztuce, są tu w cenie od 40 rs.

Weby od 19 rs. do 60 za sztukę.

Chustki do nosa są tu prześliczne haftowane i tannie. Półbatystowe haftowane kosztują od 60 kop. Batystowe droższe.

Do codziennego ubrania, najbardziej używane są chusteczki batystowe z drukowanym kolorowo szlaczkiem. Cena damskich 60 kop. męskich znacznie większych 1 rs. 20.

Na zakończenie powiadomić musimy czytelników nasze, że cyfry do znaczenia bielizny, najmodniejsze są związane. Na obrusach, serwetach i prześcieradłach, haftują się one w środku nad jednym z obrębków.

Korespondencja z Paryża.

Z ustalonemi upałami, widzimy tak po magazynach jak i na polach Elizejskich mnóstwo białych sukien. Moda ich staje się panującą; poświęcamy im też większą część dzisiejszego sprawozdania.

Zaczynając od najskromniejszych, powiemy na-

przód o kostiumach białych z nowego wyrobu w drobniechną krataczkę białą na białem. Kostium składa się ze spódniczki przybraną trzema falbankami. Każda falbanka obszyta w górze i u dołu wąską naśladowaną walansienką. Dopełnia ubrania dosyć długa baskina, obszyta również falbanką, przepasana szarfą ze wstążki szkockiej w żywych kolorach, przewiązaną z tyłu na kokardę.

Kostiumy i suknie białe pikowe bardzo też używane. Naszywają je zwykle taśmą białą, lub też wstawkami z haftu angielskiego, albo gipiury, na kolorowej wstążce; podkładają także i czarną aksamitkę. Kostium pikowy składa się zwykle ze spódniczki do ziemi i z mantylki Meternich, z przewleczoną z tyłu szarfą; końce z przodu bywają przypasane. Szarfa szkocka najmodniejsza; noszą też kolorowe szarfy z gładkiej wstążki, z krótkimi z tyłu końcami.

Do strojnieszego cokolwiek ubrania, na obiad lub na teatr, używane suknie białe muszlinowe w drobny groszek z kilkoma falbankami z prostym obrębkim? Suknie te robią powłóczyście, stanik bywa najczęściej podcięty z przodu czworograniasto, ogarniowany na wykroju falbanką. W teatrze wiele podobnych sukien widzieć można. Dopełnia zwykle ubrania aksamitka czarna przeciągnięta w koło szyi, zakończona z przodu rozetką i krótkimi końcami.

Noszą też bardzo suknie z gładkiego muszlinu lub organzyny; falbanki u nich zakończone gipiurą, walansienką lub prostym tulikiem. Widzieliśmy taką suknię na lilla muszlinowej. U dołu szło dwanaście zakładów, pod niemi falbanka zakończona zakładkami i walansienką. Miejsce stanika zastępował paletocik przybrany odpowiednio, przepasany szarfą lilla ze spadającymi na tył końcami średniej długości.

Zwróciła niemniej uwagę naszą suknią muszlinową gładką, przybraną sześcioma falbankami z prostym obrębkim. Staniczek wycięty był bez rękawów. Na to szła koszulka czarna koronkowa, przepasana szarfą w kratę, z pod szarfy spadała baskina koronkowa, ułożona z szerokiego wolanta, podpinana w festony kokardami w odpowiednich kolorach.

Młode osoby do białych muszlinowych spódniczek noszą kolorowy jedwabny szpencerek z długimi rękawami. Przód szpencerka przybrany żabotem z gipiury lub walansienki, u szyi także fryzka i odpowiedni mankiet odwinięty na rękaw. Slicznie wygląda taki szpencerek z materji błękitnej, w turkusowym odcieniu. Dół spódnicy zdobi jeden szeroki wolant z główką. Zamiast gipiury garnirują także szpencerek ruszą jedwabną wystrzyganą w maszynie.

Do strojnieszszych sukien białych, należą szalinowe w atlasowe pasy białe na białem. Robią je powłóczyście. U dołu idzie frendzla jedwabna lub angorowa, a nad nią naszyta kilkoma rzędami wstążeczka atlasowa biała. Baskina przybiera się tak samo.

W koło baskiny idą podpięcia, przytwierdzone białymi atlasowymi rozetami.

Piękniejsze od tych jeszcze są suknie z białego *crêpe de Chine*, przybrane zazwyczaj frendzlą jedwabną lub angorową. Draperje z tej miękkiej tkaniny przesłicznie się układają, a wiadomo jak ważną rolę grają draperje w dzisiejszym ubraniu. Suknia *crêpe de Chine* krótka, cała upinana w festony, kładzie się zwykle na długą spódnicę białą *poult de soie*, naszytą wązkimi falbaneczkami, wystrzyżonymi w maszynie.

Na zakończenie powiedzmy jeszcze o kołnierzykach. Wiele osób trzyma się dotąd stojących kołnierzyków, zdobiąc je z przodu długimi kłapkami, ze wstawek haftowanych i walansienki. Noszą też bardzo stojące fryzki gipiurowe i walansienowe. Jako nowość pojawiły się dosyć duże kołnierzyki muszlinowe obszyte walansienką, zwane „*Cols Patti*“.

Do sukien podciętych u szyi noszą wielkie kołnierze z szerokiej wstawki walansienowej naszytej wypukłym haftem.

Do sukien wykrojonych czworograniasto robią kołnierze złożone z wstawki haftowanej i trzech falbanek walansienowych.

Opis deseni do haftu i dwóch kostiumów damskich.

N. 1 i 2. Kostium spacerowy „*Sevilla*“.

Kostium żółto-mais alpakowy, złożony z podwójnej spódniczki z karoczek, bluzki i chusteczki. Garnirunek formują falbanki wierzchniego materiału; wypustki i pliska z żółtego „*satin coton*“. Dół spódniczki zdobi 25. cent: szeroka falbanka, marszczona u góry, ukośna, opatrzona w dole grubą wystającą wypustką i miękką po nad nią z atlasu. Nad falbanką dana jest woda z wierzchniego materiału 18. cent. szerokiego, ukośnego kawałka, wypustkowana z obu stron i przemarszczona w odstępach 2 1/2 cent, od każdej wypustki licząc, co formuje ozdobne nagłówki. Na przemarszczeniach dana jest wązka z dwóch stron wypustkowana pliska. Wierzchnią spódniczkę ozdabiają falbanki, patki i pliski. Rękawy bluzki ubierają 3/4 cent, szerokie wypustkowane pliski i 2 1/2 cent, szeroka, skośna, marszczona falbanka, której przyszycie pliska pokrywa.

N. 3 i 4. Kostium „*Delphin*“. Krój na odwrotną stronę arkusza figura 11 — 13.

N. 5 i 6. Szlaki z narożnikami do batystowych chustek do nosa. Szlak pod numerem 6 haftuje się atlasem nad gładkim obrębem. N. 5 ma szlaczek grecki w ażurową krataczkę i drobniechną ząbki dziergane w około.

N. 7. Szlaczek dziergany lub atlasem.

N. 8 i 9. Narożniki do damskich kołnierzyków marynarskich.

N. 10 i 11. Kołnierzyk i mankiet na ścieg meksykański czarną bawełną.

N. 12—17. Desenie na wstawki do bluzek, czepeków muślinowych i t. d.

N. 18 i 19. Deseń na saffanowe pantofle.

Do zrobienia tych pantofli potrzeba skóry brązowej lub kaszmiru, sznureczka złotego, kordonku brązowego i pasowego, czarnych perełek, jedwabiu brązowego. Robotę trzeba wykonać w ramach, żeby była równa i nieściągająca; kwiatki i liście środkowe haftują się pasowym kordonkiem, ścięciem atlasowym, kontury obwiedzione brązowym sznureczkiem. Brzeźny desenie składa się z dwóch ścięgów: z brązowego kordonku i złotego sznureczka. Środkowy desień zakończony czarnymi perełkami.

N. 20. Litery do znaczenia poszewek, prześcieradeł i dużych obrusów. Haft atlasowy i drobny stembenek.

N. 21. Alfabet mniejszych liter do znaczenia chustek do nosa, serwet, ręczników i t. d.

N. 22 do 25. Litery do poszewek.

Opis kroju pikowej sukienki i baskiny do kostiumu „*Delphin*“.

Sukienka pikowa dla dziewczynki od 2 do 4 lat.

Krój w dodatku fig 1 — 8.

Na sukienkę przykrawa się z piki podług N. 1, 5, 7 i 8 po jednej części w całości, podług N. 2, 3 i 6 po dwie części. Prócz tego daje się z perkalu na podszewkę jedną część w całości podług N. 1. podług 2, 3 i 4 po dwie części. Podfastrzykowawszy perkal na staniczku, łączą się plecy i przody, podług odpowiadających cyfer, podwągria podszewkę do wierzchu w plecach w tylnym brzegu z sobą, i daje do zapinania guziki z dziurkami. Wykrój szyi wypustkowany. Szelki naszyte sutaszem i podbite perkalem przyszywa się wzdłuż gładkiej linii od 17 do 18 na fig. 1 i 2, bardzo mocno, od 18 do dołu. Końce szelek, powinny się krzyżować. Spoiwszy podszewkę z wierzchem u dołu rękawa i ubrawszy go, podług ryciny, zeszyć go trzeba w górze od 19 do 20 i wszyć trafiając 20 w numer 20 pleców, w wypustkowaną pachę. Sukienkę zeszywa się od 21 do 22

i od 23 do 24., dając wyszycie z sutaszu, podług wskazówek ryciny. U dołu sukienki, daje się ukośną perkalową listwą. W samym tyle spódnicy od podwójnej kropki do krzyżyka, rozcina się na rozporek, którego brzegi podwągriać wązko należy. Od gwiazdki na fig. 6 aż do środka w tyle, marszczy się brzeg górny odpowiednio do staniczki i łączy z nim niewidocznymi ścięgami. Pasek perkałem podszyty z haftkami do zapinania, zakończy szarfą, urządzoną podług wskazówek ryciny fig. 9.

Baskina do kostiumu „*Delphin*“
Krój fig 11—13.

Kostium z brązowego z popielatym kretonu, złożony ze spódnicy z karoczek i bluzki. Dół spódnicy ozdabiają dwie falbany po 20. cent: szerokie, ukośno krajane, obrębione w dole na 1. cent: szeroko; górny brzeg gdzie falbanka otrzymuje wyłożony 2 cent: szeroki obrębek, marszczy się tak, żeby stanowiąc nagłówki tyleż wynoszący. Przyszyte falbanek pokrywa rulonik wierzchniego materiału, mający z jednej strony wypustkę bez sznurka z brązowej materji. Falbany oddzielone są od siebie, na odległość 7 cent. Karoczek ubrany jest w koło falbaneczką skośną 5 cent. szeroką, z nagłówkiem na 1 cent; przyszyte także rulonik pokrywa. Górny brzeg karoczek, krzyżyk na kropkę zakładając powinien się sfałdować; karoczek z przodu wzdłuż zębatego brzegu, obejmuje się materją, od rogu aż do N. 13. oszywa się falbanką, — od 13. do 12. przednie części karoczek podchodzą pod tylni stosownie do liter. Całość obejmuje się następnie paskiem, albo łączy wraz ze spódnicą. Pasek z szarfą i spadającymi pękami różnej długości, dopełnia kostiumu.

Opis ryciny paryżkiej.

Figura 1. Suknia jedwabna mieniona, jasno popielata, z tuniką i baskiną Kamargo. Wolant wycięty w zęby, objęty fijołkowym fularem. Plisy a pomiędzy niemi buffa przepinana w odstępach. Stanik wycięty. Berta koronkowa, nad nią przepinana buffa. Modestka wysoka. Rękawy złożone z jednej buffy jedwabnej objętej plisą i koronką, poniżej dwie buffy tiulowe przepinane plisami. Każda plisa zakończona kokardą. Naszyjnik ze złotych paciorków z wisiorami. Na głowie puff z wstążki fijołkowej.

Figura 2. Suknia jedwabna niebieska (bleu Mexique), stanik przybrany w chusteczkę, białymi plisami i czarną koronką. Pasek z białą plisą. Mankiety z trzema plisami i koronką. Kołnierzyk koronkowy z kłapkami. Włosy opasane wstążką niebieską. Nad kokiem wpięty jasny grzebień.

Figura 3. Ubranie dziewczynki. Sukienka koloru „*Caroubier*“ fularowa, z falbanką i wodą u dołu. Druga spódniczka podpięta w górę, obszyta frendzlą. Kołnierzyk płócienny, kapelusik okrągły, przybrany kokardą i ptaszkiem.

Korespondencja.

Pani Sewerynie Do. Kolje z ametystów w złoto oprawne kosztuje około 100 rs.

Panu Bolesławowi Ru: Książka francuzka o której się zapytywano, kosztuje 40 kop. Za włóczkę i kanwę należy się będzie około 20 rs.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956 dom dawniej Krzemińskiego.

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka kolorowana oraz arkusz z deseniami do haftu, wzorami kostiumów i krojem sukienki pikowej i baskiny „*Delphin*“.

DODATEK do N° 33 TYGODNIKA MOD 1869r

1 i 2 Kostium spacerowy. —

3 i 4 Kostium „Delphin”. —

5 i 6 Szlaki i narożniki do chustek od nasa

7 Szlak dziergany. —

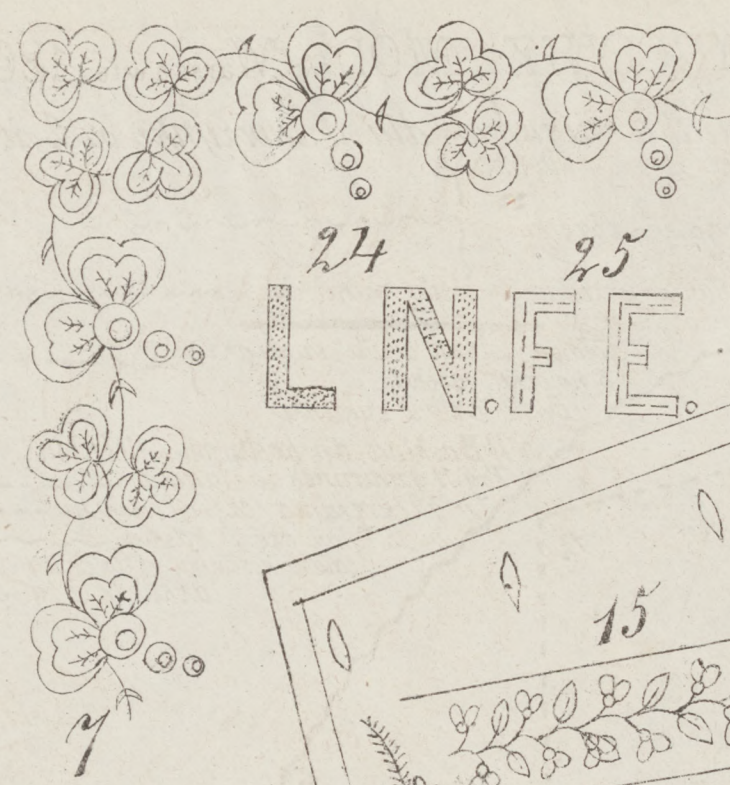
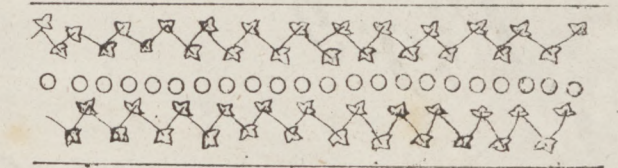
8 i 9 Narożniki do damskich kołnierzyków marynarskich. —

10, 11 Kołnierzyk i mankiety na ściąg meksykański czarna barwna. —

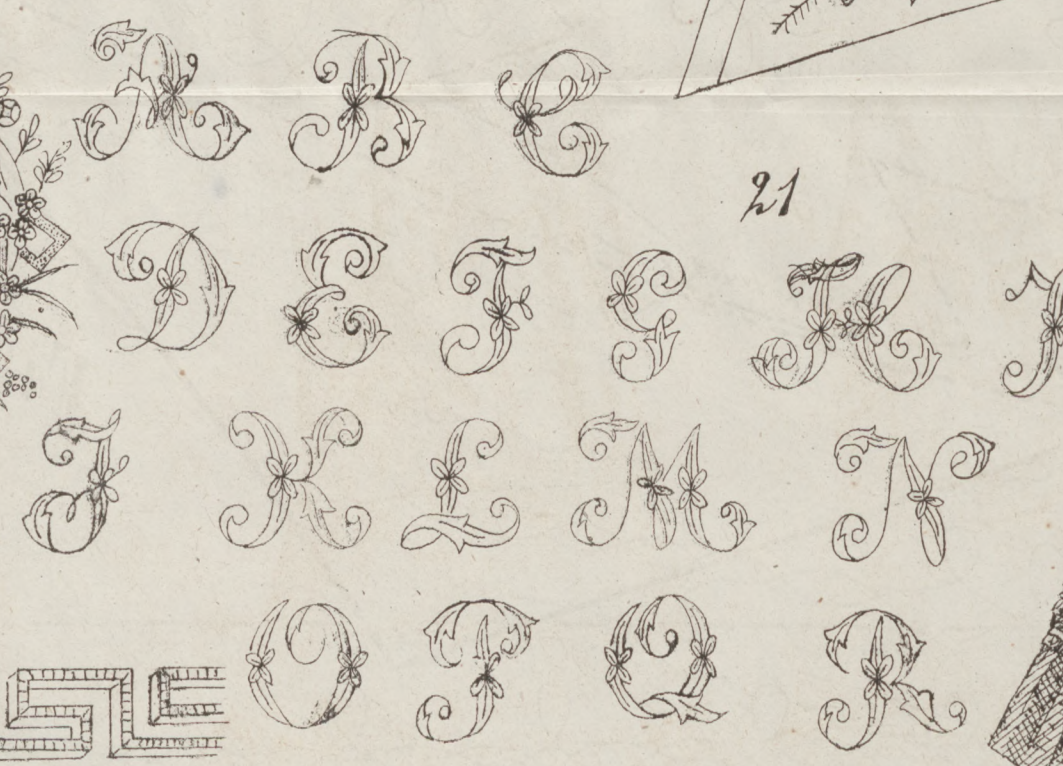
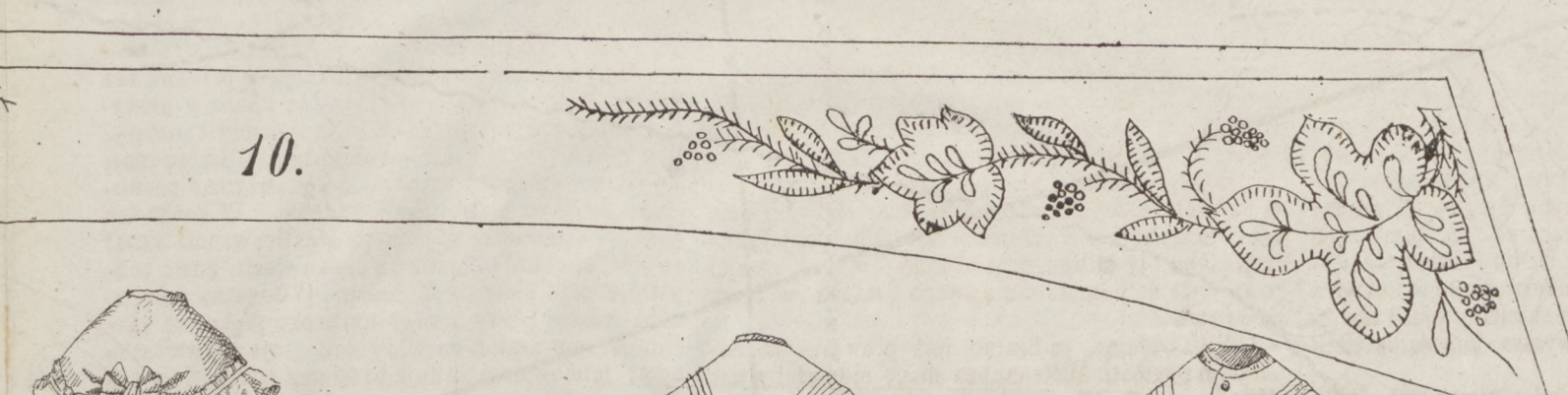
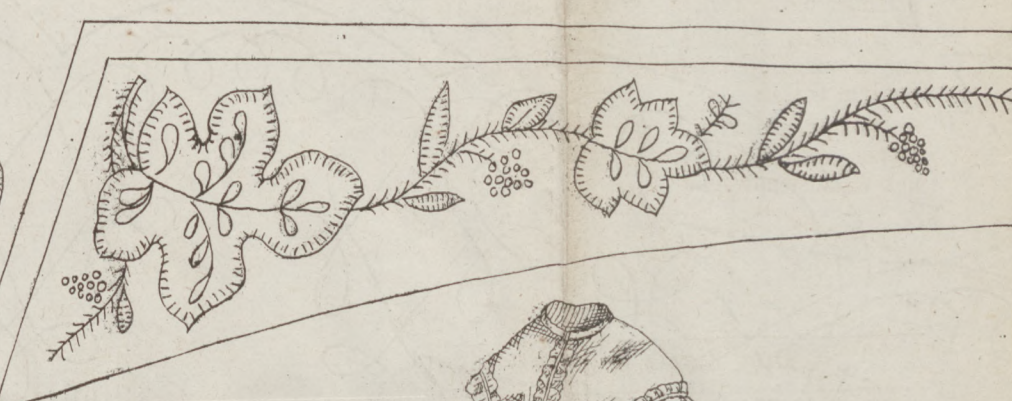
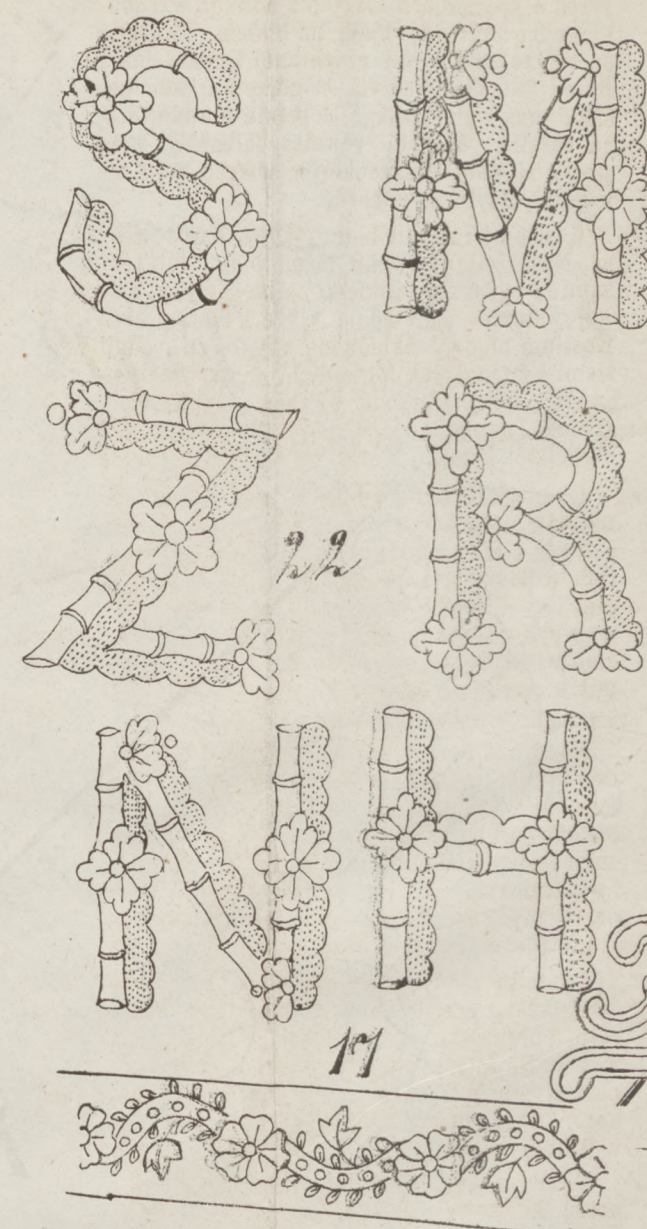
12 do 17 Desenie na notawki

18 i 19 Desen na pantofle

20 do 25 Litery mniejsze i większe do znaczenia białany.



24 25
L N F E



Nr 1 Sukienka pikowana dla dziewczynki od 2 do 4 lat

- Fig 1 połowa przodu stanika
- " 2 rękawy
- " 3 garniturek stanika
- " 4 rękaw
- " 5 połowa przedniego brzoła sukienki
- " 6 boczny brzoł
- " 7 połowa tylnego brzoła sukienki
- " 8 połowa paska
- " 9 i 10 całość sukienki

Nr 11 Baskina do kostiumu "Delphin"

- Fig 11 garniturek do stanika
- " 12 przednia część baskiny
- " 13 tylna część baskiny
- " 14 całość kostiumu na drugiej stronie arkusza Fig 314



Fig: 9



Fig: 10

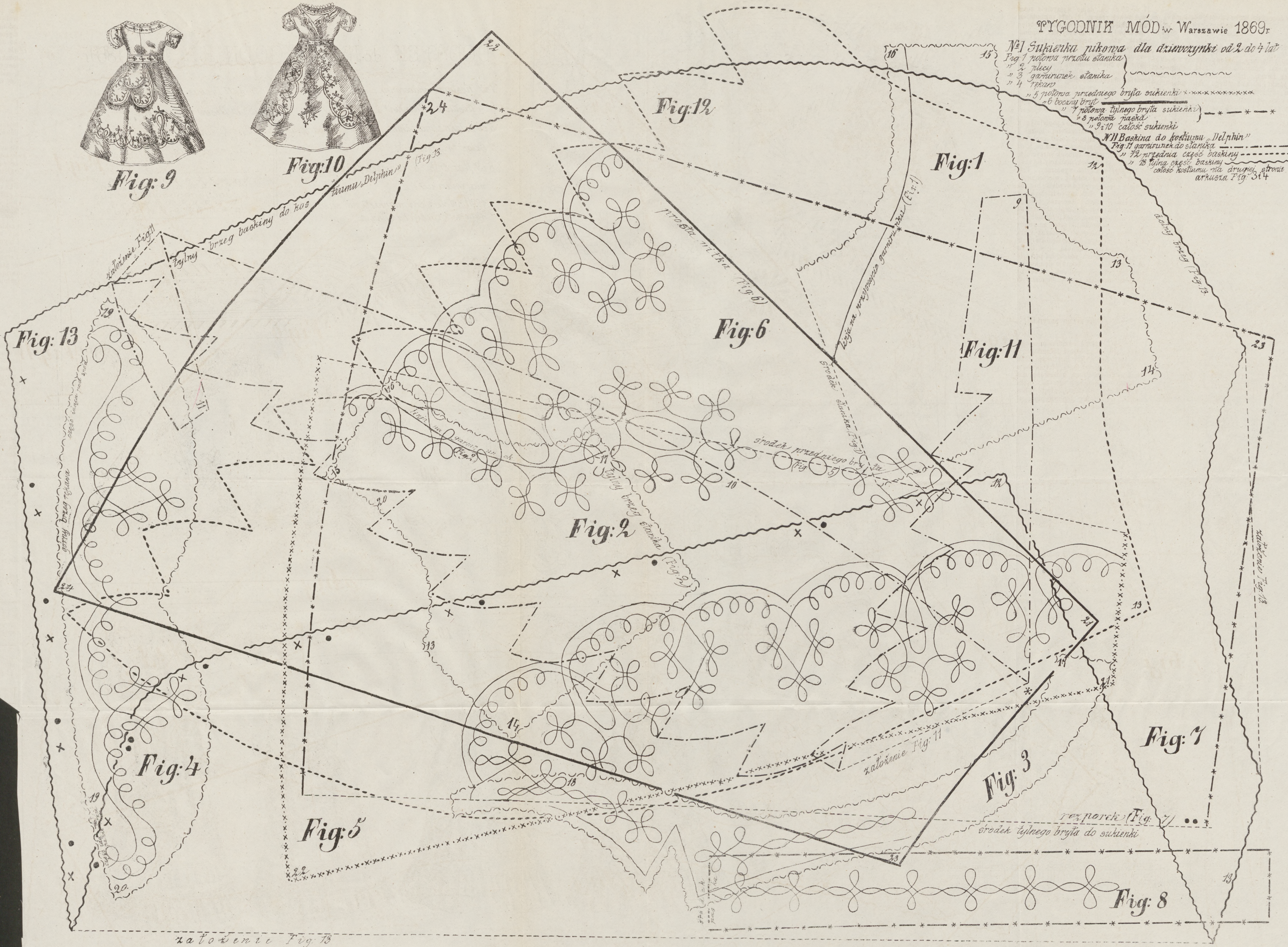


Fig: 13

Fig: 12

Fig: 1

Fig: 6

Fig: 11

Fig: 2

Fig: 4

Fig: 5

Fig: 3

Fig: 7

Fig: 8

zakończenie Fig 13